Rok XII. # TYGODNIK KATOLICKI. Rok XII.

№ 12. Grodzisk, 25. marca 1871. № 12.

Tygodnik katolicki wychodzi co **Sobotę**. **Prenumerata** ćwierćrocznie wynosi: 1) **na pocztach pruskich** 1 tal. 20 sgr. 2) w **Galicyi** 3 fl. 3) w **Król. Polsk.** 2 ruble. 4) We **Włoszech** 2 tal. 5) We **Francyi** 2 tal. 5 sgr. 6) W **Turcyi** 2 tal. 10 sgr. 7) W **Ameryce** 2 tal. 15 sgr.

Listy z zagranicy adresować należy do **Poznania** (**Posen**, Grand Duché de Posen). — Redakcya przyjmuje tylko **frankowane** listy, reklamacye i korespondencye. Rękopisy nie zwracają się (tylko na uprzednie żądanie) i ulegają zniszczeniu.

Deum qui proposito tuo favit hactenus, rogamus, ut potiora semper et uberiora eidem incrementa largiatur in sui nominis gloriam et gentis tuae utilitatem. (List Ojca św. Piusa IX. do Redaktora Tygodnika katolickiego.)

W num. 2. *Urzędowego Dziennika kościelnego* znajdujemy na stępujący okólnik Najprzewielebniejszego ks. Arcypasterza:

,,Niepokój z niejasnego położenia powstały, rozdraźnienie umysłów podsycane bezustannemi podżeganiami, wkładają na Nas obowiązek odezwania się do Szanownego Duchowieństwa obu Naszych Archidyecezyi, celem uchylenia wątpliwości co do zapatrywania się Naszego na przedmiot niesnasek i sporów tegorocznemi wyborami wywołanych.

Pochwalamy i wysoko cenimy jawne i poważne oświadczenie się Duchowieństwa Naszego, że się nie chce przyczyniać do wyboru na posłów do sejmu osób nie dających rękojmi, iż przy danéj sposobności bronić będą praw Kościoła ś. i religii. Wystąpienie to zbiorowe, które w tak wydatny sposób nowy złożyło dowód, w ciężkich teraźniejszych czasach, gorącego przywiązania kapłanów naszych do Stolicy św. i do sprawy Kościoła, wielką serce Nasze napełniło pociechą.

Prawo stawiać kandydatom do poselstwa zapytanie, czy są gotowi bronić interesów przez Duchowieństwo wskazanych, służyło kapłanom, którzy mając głosować na tychże kandydatów, o usposobieniu ich dostatecznéj pewności nie mieli; inaczéj bowiem głosów swych spokojnie oddać im nie mogli.

Lecz na tém poprzestać należało; a że nie wszędzie tak się stało, ubolewamy. Niektórzy z Duchownych, aczkolwiek w dobréj wierze, wkroczyli w granice agitacyi przez Nas stanowczo zakazanéj. Zakaz ten niniejszem ponawiamy, a czynimy to z tego powodu, że doszło do Naszéj wiadomości, iż pewna część Duchowieństwa, sądząc z pozornych okoliczności, w jakich osoby ruchowi przewodniczące się znajdowały, mniemała, że Władza Duchowna na to, co się po za wzmiankowanem wyżéj oświadczeniem i przyzwoitem kandydatów zapytaniem dziać, a do prawdziwéj agitacyi słusznie zaliczonem być mogło, nietylko obojętnem patrzała okiem, lecz nawet to pochwalała. Mylne to mniemanie pospieszamy sprostować, i oświadczamy: że żadna agitacya za Naszem zezwoleniem podjętą nie została, owszem, że jak w żadnym innym, tak i w obecnym razie nagany Naszéj nie uszła i nie uchodzi,

Zbyt zbawienne przyniosło nam w ostatnich latach owoce uchylenie się kapłanów od spraw czysto politycznych, byśmy mogli dziś zezwolić na opuszczenie téj pewnej drogi, a tym sposobem Kościół w Naszych Dyecezyach narazić na niebezpieczeństwa.

Niechaj tedy Szanowne Duchowieństwo w tych trudnych i ważnych sprawach ściśle przestrzega na przyszłość danych mu przez Nas prawideł, i liczy na to, że w razie nowych i odmiennych potrzeb nieomieszkamy odpowiedniego sami wskazać mu kierunku.

Poznań dnia 16. Marca 1871.

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański

Mieczysław.

No. 345. X. Maryański.

Antropologia przedhistoryczna i chronologia Mojżesza.

Odpowiedź na rozprawę Dr. Libelta: „Mieszkania nawodne przedhistoryczne.“

Napisał

Stefan Pawlicki.

I.

Wystąpienie nowszych materyalistów przeciw tradycyi chrześciańskiéj, — Hypoteza Darwinizmu. — Zasady materyalizmu szerzą się w polskiém piśmiennictwie. — Stanowisko p. Libelta; — jego sympatye dla Dra Vogta i otwarta propaganda materyalizmu.

Dosyć często w naszych czasach pisarze, niechętni tradycyom Kościoła, usiłują dowieść, że rodzaj ludzki daleko dawniéj istnieje na ziemi, aniżeli twierdzi Geneza Mojżeszowa. Hołdując fałszywéj filozofii, nie zaś wierze w dogmat stworzenia, występują z hypotezą, jakoby pierwotny człowiek, w zupełnéj dzikości, bez pojęć, bez uczuć wyższych, żył wespół z leśnemi bestyami, od których odróżniało go słabe tylko, ledwo odzywające się samowiedzy poczucie. I taka prawie zwierzęca istota, ze stanu zupełnego kretynizmu, bez pomocy Bożéj, bez światła z góry, o własnych jedynie siłach daskonaląc się bezustannie, podniosła się, jak mówią, nareście na szczebel duchowéj potęgi, na którym dzisiaj radośnie kołysze się dumne ludzkie plemię.

Postęp tak niezmierny mógł tylko w nieskończonym czasie się dokonać, w czasie, w którym bez śladu giną, jak kropla w morzu, owe cztery tysiące lat od Adama do przyjścia Zbawi-

ciela. W tak ciasnych ramach nie mogli teoryi swojéj zamknąć zwolennicy Darwinizmu, powolnego przemieniania się zwierząt w samowiedne, duchowe istoty. Im nie tysięcy lat, im milionów potrzeba. Nuż więc oglądać się, u jakiego bankiera chronologii znaleść tak ogromną lat pożyczkę! —

Widziano wtedy rzeczy bardzo dziwne. Ci sami, co z niewymownem lekceważeniem odrzucili poważną, świadectwem ludów uwierzytelnioną tradycyą hebrajską, na przemiany sięgali do bajecznych podań Chińczyków i Persów, Indów i Egipcyan, a z nich, jak z niewyczerpanéj skarbnicy dobywali lat niezliczonych, potrzebnych im na fundament potwornéj budowy. Inni znowu do głębin ziemi zstępując, dokopali się przeszłości o wiele dawniejszéj, przewyższającéj nawet zmyślone liczby babilońskich astrologów lub egipskich ofiarników. I zdawało się, że zwycięży materyalizm, a Mojżesz zamilknie na zawsze.

Jednakże zdrowy rozsądek i uczciwość prawdziwych historyków i geologów bez wielkiego mozołu rozproszyły te wielopiętrowe gmachy, stawiane na piasku. Ani „*odwieczne*" podania chaldejskie, ani tajemnicze hieroglify lub zodyaki Egiptu, ani chińskie roczniki nie okazały się dawniejszemi od czasu, jaki Mojżesz naznaczył powstaniu ludzkiego rodzaju. Przeciwnie, zmalały niesłychanie. I zdawało się, że po takiéj klęsce materyalizm da za wygraną.

Niestety, fałsz i zarozumiałość twarde mają życie. „*Tłucz głupca w możdzierzu, nie puści swego głupstwa*" mówi Mędrzec pański. Kłamstwo smoczéj jest natury, gdy łeb zetniesz, dziesięć natomiast wyrasta. Cóż więc dziwnego, że materyaliści zebrali nowe dowody i niby w imieniu najnowszéj archeologii, najnowszych badań geologicznych, pod nową formą dawne odświeżyli mrzonki. Już upłynęło sto tysięcy lat (tak z nich mówią najskromniejsi) od ukazania się pierwszych ludzi na ziemi, a potym szczegółowo rozpowiadają, jakie były ich kształt i budowa, jaka broń i przyodziewek, jakie zwyczaje, ustawy, jaka religia i oświata, a nawet polityczne koleje. Przypomina to owego uczonego z podróży Brambeusa, który znalazłszy nad Obem czy Jenisseją grotę z mniemanemi hieroglifiami, wyczytał z nich historyą przedpotowego państwa na Sybirze, bardzo ciekawą i przez wiele tysięcy lat przed potopem ciągnącą się. Już ją skończył odczytywać, kiedy nadszedł jego towarzysz podróży, prawdziwy geolog i przekonał go, że to nie są hieroglify ale stalaktyty. I państwo przedpotopowe i jego historya rozwiały się w wyobraźni hieroglifomana. W podobny, choć mniéj niewinny sposób, bawią się niektórzy naturaliści i bawią swych czytelników popularnemi wykładami o przedhistorycznych ludziach, dawniejszych od Adama. Twory to rozgorączkowanéj wyobraźni, jak u Brambeusa. —

U nas nie wiele zajmowano się tą kwestyą. Odkąd jednak i w naszém piśmiennictwie materyalizm usiłuje głębsze zapuszczać korzenie, pojawiają się coraz częściéj w czasopismach, jakby umyślnie ku temu założonych, artykuły z widocznym zamiarem oswojenia publiczności naszéj z nauką Vogta i Büchnera. Wielkopolsce zbywało dotąd na otwartéj ku temu propagandzie, i ludzie uczciwi dziękowali Niebu, że najdawniejszą z polskich dzielnic zachowało wolną od nowożytnéj zarazy; gdy oto niedawno temu i tam się podniósł organ materyalizmu, *Tygodnik Wielkopolski*. Trudno zaprzeczyć, że taki a nie inny cel jego i przeznaczenie.

Zaraz na wstępie, jako program i przedsmak naukowych tendencyi swoich, wydrukował rozprawę Dr. Libelta „*Mieszkania nawodne przedhistoryczne.*" Rozprawa ta przejęła nas głębokim smutkiem i łatwo pojąć, dla czego. —

Imię p. Libelta było dotąd powszechnie szanowane. Od wielu lat i w Poznańskiem i w innych polskich prowincyach, już to przez prace swoje literackie już to dla stanowiska obywatelsko-politycznego, uzyskał sobie sławę uczonego i myśliciela, zasłużonego obywatela i patryoty. W końcu obrany prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, został niejako głową poznańskiéj intelligencyi. Zdanie jego waży w naradach obywatelskich, słowa jego, czy pisane, czy żywe, przyjmowane są skwapliwie i sympatycznie przez wielką część naszéj publiczności.

Téj sławie jednak czegoś nie dostaje i to najważniejszéj ozdoby. Nie powiedziano nigdy o p. Libelcie, że jest katolickim myślicielem. Chociaż miał liczne okazye do zdobycia téj chwały, nigdy nie ubiegał się o nią. Ani na mównicy, ani w pismach nie okazał się nigdy szczerym katolikiem. Był Polakiem, był obywatelem kochającym kraj swój, bez wątpienia — i to niegdyś wystarczało. Ale dzisiaj więcéj nam potrzeba.

Czasy indifferentyzmu, religijnéj obojętności przeminęły bezpowrotnie. Dzisiaj w obec ciosów, wymierzanych z zadziwiającém wyrachowaniem, w samą rdzeń chrześciaństwa, Kościół powoływa wszystkich synów swoich do broni, do walki. Dzisiaj, kto nie jest Kościoła obrońcą, jest nieprzyjacielem jego. Gdy społeczeństwo zagrożone, żadnemu z jego członków nie wolno pozostać neutralnym.

W innych krajach, odznaczających się większą dojrzałością i szerszym poglądem w przyszłość, zasada ta została przyjętą i wprowadzoną w życie. Są tam ludzie energiczni, gorąco oddani świętéj sprawie, któréj bronią, nie cofający się przed żadném następstwem. Baczne ich oko czuwa bezustannie; żaden objaw życia narodowego nie uchodzi przed ich uwagą. Polityka i życie domowe, teatr i szkoła, piśmiennictwo i nauki podlegają ścisłéj kontroli. Cokolwiek się ukaże a nie jest szczerze i na seryo katolickiém, zostaje wydzieloném z chrześciańskiéj społeczności. —

Księstwo nasze nie pozostało w tyle za katolickim ruchem, porywającym dzisiaj z większą siłą Europę, i nie po raz pierwszy daje zbawienny przykład innym dzielnicom dawnéj rzeczypospolitéj. Z powodu ostatnich wyborów, wskutek inicyatywy kilku szlachetnych obywateli, pod kierunkiem swego Arcypasterza, utworzyło się jawne stanowczo katolickie stronnictwo, które, da Bóg, ogarnie całą lepszą część społeczności naszéj a odrzuci precz wszystkie żywioły szkodliwe.

Potrzeba teraz, aby zasady, któremi odtąd kierować się będziem w życiu politycznem, konsekwentnie zastósowano do wszystkich dziedzin społecznego bytu. Przedewszystkiem piśmiennictwo zasługuje na baczną uwagę, a każde odezwanie się jego niekatolickie powinno niemiłosiernie zostać potępioném. Na taki los zasługuje niewątpliwie *Tygodnik Wielkopolski.* Dzisiaj jednak nie o nim samym pomówić nam przyjdzie, lecz o rozprawie p. Libelta, która jest jakoby programem jego i donośnym wyrazem. Rozprawie téj czynimy zarzut podwójny: treść jéj sprzeciwia się nauce Kościoła, a celem jéj propaganda materyalizmu. Pierwszy zarzut późniéj uzasadzimy, w toku naszego wykładu; drugi wymaga krótkiego objaśnienia.

Nasamprzód uderza w rozprawie charakter źródeł, z których została ułożoną. Z zadziwieniem spotkaliśmy same imiona materyalistów: Lyell, Vogt i Büchner, oto powagi, na których ona przeważnie się opiera. O pisarzach przeciwnéj szkoły, którzy zwycięzko rozprawili się z domysłami wymienionych materyalistów, p. Libelt nigdy nie wspomina. Czyż ich nie znał? To być nie może. Sama sumienność autorska, któréj p. Libelt dawał dotąd dowody, jest nam rękojmią, że zanim zabrał się do

pisania rozprawy, przeczytał ważniejsze prace przeciwnego obozu. Dla czegóż więc zbywa je milczeniem? Widocznie nie przypadły one do jego teraźniejszéj dążności naukowéj. Ztąd dozwolony jest wniosek, że dążność ta ma pewne pokrewieństwo z materyalizmem. Że dawny Heglista doszedł do takiego kresu w swym rozwoju duchowym, nie zadziwia nas wcale; wykazano to już nieraz faktami, że podobny proces psychologiczny często w duszach się odbywa.

Inną poszlaką, że p. Libeltowi chodzi o to, aby głośniejsze materyalistów zasady przyjęły się w narodzie, jest gorliwość z jaką rehabilituje Dr. Vogta. Kto ma zamiar człowieka, o którym wiele złego mówią, wprowadzić do porządnego towarzystwa, oświadcza na wstępie, że to, co o nim mówią, nieprawda, lub że nie taki zły, jak się wydaje. Tak i p. Libelt Dr. Vogta wprowadza do polskiéj publiczności, zaręczając, że to mąż *znakomity, któremu mylnie przypisują teoryę, jakoby człowiek z małpiego pochodził rodu.* Co do *znakomitości* Vogta i towarzyszy jego, odsyłam czytelników moich do *Przeglądu Polskiego.* (Materyalizm w obec nauki — r. 1870), gdzie według możności starałem się ocenić mniemane ich zasługi. Co zaś do słów p. Libelta, że nigdy Dr. Vogtowi nie przyszło na myśl, wywodzić człowieka z małpiego rodu, wydaje mi się ta apologia bardzo dziwną. Wychodzi to na to, jakby ktoś bronił rozmyślnego bankruta od zarzutu oszustwa. Zgoda, Vogt nie powiada wyraźnie, że człowiek z małpy się rodzi, ale nie wierzy w dogmat stworzenia. Więc to tylko słów igraszka.

Bo i cóż mówią ci, co przypisują Vogtowi twierdzenie, że człowiek z małpy pochodzi? To jedno, że człowiek wedle niego nie jest dziełem Bożém, lecz w prostéj linii z jakiegoś zwierzęcia się rodzi. Czy to zwierzę nazywa się małpą czy téż małpozwierzem, obojętna to w sobie rzecz, skoro myśl Vogtowska została oddaną. Według myśli téj, będącéj najskrajniejszym Darwinizmem, psy, wilki, szakale, a może i lisy pochodzą z jednego antenata; tak samo orangutan, szympans, goryl i człowiek z jednego przodka się rodzą. Przodek ten nie był jeszcze ani małpą ani człowiekiem, choć do obu podobnym, i w tem tylko znaczeniu p. Libelt ma racyą, że w teoryi Vogta człowiek nie z małpy pochodzi. Jednakże moralna wartość podobnéj rehabilitacyi wydaje mi się nader wątpliwą. Sama teorya nie staje się przez to ani prawdziwszą ani mniéj wstrętną dla ludzi nie pozbawionych ślachetniejszego zmysłu, bo czy małpa jest rodzicielką człowieka czy téż siostrą rodzoną, zawsze na wstępie rodzaju ludzkiego napotykamy ten sam bestyalizm.

Ale czas już przystąpić do głównego zarzutu, że rozprawa p. Libelta napisana jest w duchu materyalistycznym i w ostatnich wnioskach swoich sprzeciwia się nauce katolickiéj.

II.

Kilka uwag wstępnych o przedhistorycznéj antropologii, — Opis duńskich kuchennych nasypów. — Chronologia tychże podana przez materyalistów nie opiera się na żadnych danych naukowych. — Duńskie torfy. — Próbki chronologii torfowéj. — Śmieszne rezultaty materyalistów. — Ani kuchenne nasypy ani torfy nie dowodzą, że rodzaj ludzki starszy od biblijnego Adama.

Temu lat kilkanaście zjawiła się nowa nauka, nazywająca się nie wiedzieć dla czego, antropologią przedhistoryczną. Zajmuje się podobno pierwostanem ludzkiéj społeczności, pierwszemi kolejami człowieka na ziemi, a badania swoje opiera, niby z matematyczną dokładnością, na różnych wykopaliskach, sięgających do mniéj lub więcéj odległéj przeszłości. Nauka taka bez wątpienia jest potrzebną i może w sumiennych rękach wydać piękne owoce; niestety, jak wszystkie powstające nauki, ma ona i wady swoje nieuniknione. —

Badaczom przedzierającym się przez gęstwinę mało dotąd wyjaśnionych faktów, nie podobna prawie ustrzedz się sądów jednostronnych, a cóż dopiero będzie, gdy przyniosą ze sobą gotowe już filozficzne pojęcia! Wtedy nagną do nich fakta lub gdy to się nie uda, raczéj złamią i zdepcą je, a nie porzucą swojéj *apriori* zbudowanéj teoryi. Takiemu losowi uległa przedhistoryczna antropologia. Niewinną w sobie naukę przerobili materyaliści na taran, którym rozbić usiłują niezwyciężoną skałę biblijnych tradycyi. Im nie o prawdę teraz chodzi, lecz o burzenie. Burzyć i rozwalać, to ich rozkosz i kochanie. —

Wszystkie argumenta materyalizmu odżyły na nowo pod świeżą formą. Nie pisząc krytyki całéj zmateryalizowanéj antropologii, ograniczymy się tylko do jednego punktu, do chronologii. Z téj jedynie strony weźmiemy pod rozbiór ostatnie wnioski wspomnianéj nauki, trzymając się porządku, zachowanego w rozprawie p. *Libelta,* i odpowiemy na pytanie: czy w istocie prawda, że najdawniejsze ślady człowieka na ziemi wskazują wiek, nie zgadzający się z chronologią Mojżesza? Zanim to jednak uczynimy, potrzeba czytelnikom zapoznać się choć z ważniejszemi tych najdawniejszych zabytków. —

Na brzegach północnéj Danii tuż nad morzem, często napotyka się na dziwne wywyższenia, ciągnące się niekiedy na kilkaset a nawet na tysiąc stóp w dłuż. Wysokość ich zwykle kilka stóp wynosi, szerokość najczęściéj kilkadziesiąt. Pokryte już to trawą już to piaskiem morskim, długo nie zwracały niczyjéj uwagi. Dopiero w nowszych czasach niektóre z nich rozkopano, a wtedy ukazały się liczne skorupy muszlowe. Myślano, że morze utworzyło te nasypy. Gdy jednak prócz muszli wydobywano także kamienne narzędzia, gliniane naczynia, węgle i popiół, a same muszle wyłącznie z takich pochodziły gatunków, które dzisiaj jeszcze w owych stronach za pokarm służą, uczeni wpadli na domysł, bardzo słuszny zresztą, że to są resztki po dawnych nadmorskich biesiadach, *kuchenne śmieci,* podduńsku: *kjoekkenmoeddings.* Zawierały one, prócz wymienionych, liczne inne resztki, a wszystko to bardzo ciekawe, bo z kuchni nieraz można trafne wyprowadzać wnioski o sposobie życia, nawet o stopniu oświaty biesiadników. —

Oświata tych ludzi, zdaje się, była bardzo niską. Żywili się rybami, ptakami, wszelką zwierzyną, jakiéj dostać mogli. Jelenie, sarny, odyńce, bobry, żubry, nawet foki morskie dostarczały im strawy codziennéj. Z domowych zwierząt mieli tylko rodzaj małych piesków, które, jak kości świadczą, nieraz zjadano, gdy nie dopisała myśliwska wyprawa lub połów na morzu. Noże kamienne i siekierki, których używali, lichego są gatunku; domyślają się archeologowie, że tylko najgorszych używano „do stołu.“ —

Wszystko to ciekawe, ale nic nas nowego nie nauczyło. Dzisiaj tak samo żyją dzikie narody; cóż dziwnego, że i w Danii niegdyś były podupadłe plemiona, pokrewne Lapończykom lub Samojedom, i które się karmiły i żyły, jak dziś jeszcze karmią dzicy w Nowéj Gwinei lüb na wyspach Pacyfiku? —

Materyaliści domyślają się, że te kuchenne śmieci pochodzą od ludzi najdawniejszych, którzy podobno wiele tysięcy lat przed biblijnym Adamem zaludniali nadbaltyckie wybrzeża. Żeby jednak dowieść tego domysłu, potrzeba było w śmieciach owych odszukać jakichś dat chronologicznych, a tych nadaremnie dotąd szukano. Bo nie możemy na seryo brać rozmaite mniéj lub więcéj dowcipne hypotezki, za pomocą których chciano starość owych nasypów obliczyć.

Podnoszono n. p. fakt, że dzisiaj nad brzegami Baltyku znajduje się daleko mniéj ostryg oraz innych muszli, aniżeli spodziewać się godziło po owych ogromnych stosach skorup. Miały więc skorupy owe pochodzić z czasów, kiedy Baltyk i Atlantyk daleko szerszą, niż obecnie, były złączone drogą: wtedy wody Baltyku musiały być słonniejsze i dla tego pono zawierały liczniejsze i większe muszle. —

Któż jednak nie widzi od razu śmieszności podobnych domysłów? Nawet Karól Vogt, któremu bardzo chodzi o wywrócenie zbyt krótkiéj dla niego chronologii Mojżesza, pomija je z lekceważeniem. Bo, gdy potrzeba, te same muszle przebywornie żyją w morskiéj wodzie, prawie zupełnie soli pozbawionéj. Zmniejszyła się więc ich liczba, nie dla tego, że wody Baltyku utraciły część swojéj soli, lecz dla mnożących się szkodliwych owadów, które i na brzegach włoskich tępią coraz bardziéj liczne rodzaje ślimaków, ostrzyg nie wyjmując. „Chronologia śmieci“ niczego nie dowodzi.

Inna próba oznaczenia czasu, z którego pochodzą owe resztki biesiadne, nie lepiéj się udała. Wśród ptasich kości znaleziono także głuszcowe. Otóż głuszce, jak mówią ci archeologowie, na wiosnę karmią się młodemi latoroślami sosien. Na téj gastronomii głuszców oparto bardzo sztucznie chronologiczną budowę. Dzisiaj w Danii są tylko lasy bukowe, sosien nie ma i za ludzkiéj pamięci nigdy nie było. Musiały więc tam rosnąć w czasach niepamiętnych. Przypuściwszy, że w istocie głuszce żyć nie mogą bez lasów sosnowych, bynajmniéj ztąd jeszcze nie wynika przeszłość tak odległa, jak sądzą materyaliści. Późniéj zastanowimy się nad tém obszernie.

Innych dat chronologicznych dotąd w tym przedmiocie nie odkryto, a dwie przez nas przytoczone, na seryo za takie uchodzić nie mogą. To téż materyaliści, a za ich przykładem p. *Libelt* zadowalniają się powszechnie dosyć skromną sumką trzech do cztery tysięcy lat. Zezwoliwszy na nie, cofniemy się mniéj więcéj w czasy Dawida a najdaléj Mojżesza; mogła już wtedy północna Europa być zaludnioną przez zdziczałe plemiona, pokrewne dzisiejszym Eskimosom, Samojedom i t. d. Takim jednak twierdzeniem nie opuszczamy ani gruntu chronologii biblijnéj ani nie cofamy się w żadne czasy przedhistoryczne. Dramat dziejów ludzkich już wtedy był doszedł do połowy drugiego aktu swego.

Ale i to nawet przypuszczenie nie jest koniecznem. Nie potrzeba tak daleko sięgać w przeszłość. Nasypy kuchenne mogą pochodzić dopiero z czasów rzymskich, a nawet i późniejszych, tak jak powstawały i w nowszych czasach na brzegach północnéj Ameryki, Brazylii oraz w innych stronach. Kamienne narzędzia które z nich wydobyto, nie koniecznie dowodzą wielkiéj starości, bo jeszcze w czasach historycznych, gdy już posiadano broń spiżową lub żelazną, właśnie dla rzadkości metalu, zachowano narzędzia kamienne w codziennem użyciu.

Z nasypami kuchennemi łączą archeologowie kwestyą torfów duńskich, dla podobieństwa narzędzi w obu napotykanych. Jasna rzecz, że jeźli się uda drugich wiek obliczyć, pierwszych także wiek, w przybliżeniu przynajmniéj, się ustali. Usiłowano więc z matematyczną ścisłością oznaczyć starość torfu, i materyaliści przekonani są, że to im się udało, jak widać z tryumfującéj pewności, z jaką rozprawiają o tym przedmiocie. Nawet p. *Libelt,* skromny i nieśmiały, póki spierano się o resztki kuchenne, zmienia ton mowy swojéj, gdy do torfów przechodzi. Zaręcza, że niektóre z nich, mieszczące w sobie widoczne ślady ludzkiego pobytu, liczą aż *dwanaście tysięcy lat;* w takim razie byłby rodzaj ludzki o jakie *sześć a nawet siedm tysięcy lat* starszy od biblijnego Adama.

Liczby te, jakkolwiek w sobie zdają się być bardzo umiarkowane, nie zgadzają się z chronologią Mojżesza, sprzeciwiają się otwarcie chrześciańskiej nauce. Warto więc ocenić dowody, na których opiera się nowa chronologia pp. Lyella, Büchnera i Libelta. Najważniejszy z tych dowodów jest mniéj więcéj taki. —

Wiele z duńskich torfów powstało nad zapadłemi sosnami. Ale Dania już trzy razy zmieniła swoje lasy. Dzisiejsza buczyna nastąpiła po dębach, które podobno już za czasów rzymskich zniknęły. Sosny więc, które poprzedziły oczywiście dębinę, należą do niesłychanie odległéj przeszłości. A ponieważ w sosnowych torfach znaleziono wyłącznie kamienne wyroby, wynika ztąd że w téj zamglonéj toni wieków istniały już w stronach owych dzikie plemiona. Przyjmując tworzenie się torfu za chronometr przeszłości, umieścić je trzeba przynajmniéj dziesięć tysięcy lat przed erą chrześciańską.

Wartość téj rachuby zależy od wartości używanego chronometru, ta jednak bardzo jest wątpliwą. Żeby to okazać, potrzeba nam rozłączyć dwa czynniki, z których ułożono wspomniony iloczyn: sosny i starość torfu.

Sam fakt, że lasy duńskie odbyły potrójną rotacyą, że po sosnach nastąpiły dęby, a po dębach buki, nie wymaga tak nadzwyczajnego przeciągu czasu, jak materyaliści mniemają. Dr. *Libelt* powiada, że sosny od dębów, a te od buków oddzielone są tysiącami lat. Powtarzam, że to nie koniecznie tak być musiało. Bo w czasach historycznych były tam niewątpliwie jeszcze dęby i te zwolna tylko ustąpiły przed buczyną. Otóż jeżeli mniéj więcéj piętnaście wieków wystarczyło do dokonania téj rotacyi, na spełnienie pierwszéj wystarcza ostatnich dziesięć wieków, poprzedzających narodzenie Zbawiciela, a wtedy otrzymamy konkluzyą, że może jakie tysiąc lat przed erą naszą w Danii po sosnowych lasach włóczyły się na pół dzikie plemiona. Nie ma najmniejszéj potrzeby zrywać z chronologią żydowską i przenosić się do jakichś zamierzchłych, przedhistorycznych czasów.

Dowolnem także jest przypuszczenie, że była naprzód epoka sosien, oddzielona tysiącami lat od epoki dębów, bo jak te przez długi czas istniały wspólnie z buczyną, tak i pierwsze rosły razem z dębami, Gdy jednak pierwszym przybyszom, nieopatrzonym w dokładne narzędzia, łatwiéj było podcinać i obrabiać sosny aniżeli dęby, nic dziwnego, że pierwsze prędko ubyły, a drugie pozostały nietknięte.

Drugim czasomiarem materyalistów jest tworzenie się regularne torfu. W istocie, gdybyśmy wiedzieli z pewnością, ile w danym czasie torfu narasta, moglibyśmy z łatwością obliczyć starość torfowych pokładów. Przypuściwszy np. że w ciągu stu lat narastają o stopę jedną, torfy duńskie nieraz trzydzieści stóp głębokie, powinny mieć jakie trzy tysiące lat, a ponieważ sosny leżące na spodzie, nie są ani młode ani nie są koniecznie pierwszą generacyą, która poprzedziła utworzenie się torfu, nasuwa się wniosek, że na miejscu owém już przed 4000 lub nawet 5000 laty był las iglasty. Jednakże wniosek ten wtedy tylko będzie dozwolonym, gdy znana jest proporcya torfowego przyrostu; w przeciwnym razie cała rachuba będzie mrzonką tylko i nic więcéj.

Warto posłuchać, co mówi o téj kwestyi Dr. Karol Vogt, „znakomity badacz starożytności i pochodzenia rodzaju ludzkiego,“ jak p. Libelt go nazywa. Powiada, że dotąd *nie mamy żadnéj podstawy* do obliczenia proporcyi, w jakiéj torf rośnie. (Odczyty o człowieku, tom II. str. 131). A na innem miejscu tak się wyraża: *nie mamy żadnéj danéj* na oznaczenie proporcyi, w jakiéj

torf rośnie, a chociaż w téj kwestyi i listownie i ustnie zapytywałem się licznych doświadczonych badaczy, nie mogłem się *nigdy nic pewnego* dowiedzieć. (Tamże, str. 153).

Po takiém wyznaniu trudno zrozumieć, jak ten sam autor domysły swoje podaje za *naukę, która dochodzi do niezbitych wniosków i opiera się na matematycznych pewnych podstawach.* Podobnie wyraża się p. Libelt: *Jak po liczbie pierścieni piennych poznajemy wiek drzewa, tak po warstwach pokładowych powierzchni ziemi naszéj odgadujemy długość dotychczasowego żywota planety naszego.* Przekonaliśmy się, jaka jest pewność w obliczeniu pokładów torfowych; późniéj przekonamy się, że w innych geologicznych pokładach, chronologiczna pewność nie jest wiele większą.

Ale gdybyśmy nawet nie mieli wyznania Vogtoskiego, dosyć spojrzeć na rezultaty, do jakich doszli geologowie, oznaczając wiek torfów, aby wzdrygnąć ramionami. Przytoczę kilka z tych rezultatów.

Boucher de Perthes, przewódzca przedhistorycznych archeologów, zbadał torfy nad Sommą w Pikardyi i zawyrokował, że w ciągu stu lat narastają na jeden cal. Znalazłszy bowiem w pewnéj głębokości zabytki rzymskie, które tam najmniéj już 3000 lat leżą, wymierzył warstwę torfu nad niemi. Tym sposobem otrzymał powyższy rezultat. Jeśli go zastósujemy do Danii, wypadnie dla torfów trzydzieści stóp głębokich, przynajmniéj trzydzieści tysięcy lat. Liczba do prawdy bajeczna. Jednakże miara ta nie zasługuje na wiarę. Bo torf nie zawsze równéj jest gęstości; przedmioty więc cięższe ugrzęzną głębiéj, podczas gdy łżejsze na wierzchu pozostaną. Owe zaś zabytki rzymskie dla kształtu swego głęboko utonąć nie mogły, dla prostéj przyczyny, że to były płaskie talerze. Nie godziło się więc na jedném spostrzeżeniu i to wyjątkowém, oprzeć rachuby ogólnéj.

Inni geologowie doszli do zupełnie odmiennych rezultatów. We wschodniéj Fryzyi rowy wybite w torfowiskach, sześć stóp głębokie, zarastały w trzydziestu latach; prawda, że nowa massa była cokolwiek rzadszą, ale poleżawszy jakie lat sto lub dwieście, byłaby nabrała większego skupienia. Na mocy takiego obliczenia, owe duńskie pokłady torfowe nie 30,000 lat, jak mniema Boucher de Perthes, lecz tylko dwieście mieć będą; którąkolwiek z tych dwóch liczb (obie są zarówno fałszywe) czytelnik wybierze, zawsze może za przykładem materyalistów, śmiało zaręczyć, że polega na najnowszych badaniach. Owe torfy mogą mieć trzydzieści tysięcy lat, mogą mieć i dwieście! Takiéj to są ścisłości argumenta, które wywrócić mają tradycyą Mojżesza. Chronologia torfów widocznie nie więcéj warta od chronologii śmieci.

Jeżeli dotychczasowe obliczenia wieku torfowego okazały się tak bardzo niepewnemi, bo zbywa im, jak za Vogtem powtarzam, na wszelkiéj naukowéj podstawie, można przeciwnie dodatniemi argumentami wykazać, że ogromna większość europejskich torfów daleko młodszą jest, aniżeli archeologom się zdaje. I tak np. nieprzejrzane pokłady francuzkiego, angielskiego i szkockiego torfu, jak świadczą narzędzia, broń i monety od spodu samego wydobyte, dopiero z rzymskich pochodzą czasów i nawet znana jest przyczyna, która im dała początek.

Za pierwszéj rzymskiéj inwazyi pod Juliuszem Cezarem, a i późniéj nieraz aż do trzeciego i czwartego wieku, na rozkaz imperatorów wycinano lasy, szczególnie wzdłuż bitych traktów, aby pochody armii ubezpieczyć od nagłych napadów krajowców. Drzewa pozostały na miejscu, i zwolna gnijąc okryły się torfistemi pokładami. Najstarsze więc z nich dochodzą do Juliusza Cezara, młodsze do trzeciego lub czwartego wieku, jak o tém świadczą rzymskie siekiery, tkwiące jeszcze niekiedy w pniach lub korzeniach drzew.

W Anglii późniéj jeszcze niekiedy, na rozkaz parlamentu karczowano lasy, aby odjąć bezpieczne schronienie włóczęgom i powstańcom. Los taki spotkał za Edwarda I. lasy hrabstwa walijskiego, a za Henryka II. lasy irlandskie. Dzisiaj tam rozciągają się szerokie pokłady torfu, mające nieraz kilkanaście stóp głębokości.

W Holandyi znaleziono monetę z popiersiem cesarza Gordiana (III. wiek) aż trzydzieści stóp głęboko w torfie, a co dziwniejsze, w saméj ojczyznie p. Boucher de Perthes, w trzęsawiskach nad Sommą, także trzydzieści stóp głęboko, łódź z cegłami, oczywiście nie przedpotopową. Łódź ta, według wspomnionéj miary chronologicznéj znanego archeologa, powinna tam leżeć trzydzieści tysięcy lat. W Danii znaleziono rzymskie hełmy i tarcze w téj saméj głębokości w torfie. Zatém niezbity już ztąd wypaść musi wniosek, że nie tylko Mojżesza ale i rzymska chronologia jest fałszywą i że Gordian, za świadectwem torfów, panował na 297 wieków przed Juliuszem Cezarem!

Szczegóły te dowodzą, jak dowolne są i fantastyczne obliczenia oparte na regularnym wzroście torfu; do szczętu je zaś wywraca szczegół przytoczony przez p. Lyell, w jednym z dawniejszych jego dzieł. Mówi on, że w Anglii, w czasach nie bardzo odległych, kilka razy bagna torfiste wylały na znacznych przestrzeniach, zamieniając domy i lasy w olbrzymie torfowiska. W obec tego faktu zdaje mi się, że trzeba pożegnać się z nadzieją, aby nawet w przybliżeniu dojść do oznaczenia starości torfu.

Czas już powrócić uczonym do dawnéj skromności, która zawsze zdobiła sumiennych badaczy: niech wyznają otwarcie bez ogródki, gdzie się kończą pewniki naukowe, gdzie zaczynają się powiewne domysły. Na téj jedynie drodze dojdą do trwałych rezultatów. Sam przecież Vogt dał z siebie pochwały godny przykład, którego nie dosyć naśladują zwolennicy jego. W archiwum antropologiczném skreślił te pamiętne słowa: „Nie wiemy, w jakim czasie tworzy się pewien pokład torfu, gruby np. na stopę, i nie mamy żadnéj naukowéj podstawy do obliczenia przeciągu czasu, w którym całe jakieś torfowisko powstało.“ (Tom I. str. 13).

Zbierając w jedno dotychczasowe wywody i uwagi nasze, kończymy ogólnym wnioskiem, że ani nasypy kuchennych resztek w Danii, ani tamtejsze torfy nie dowodzą istnienia rodzaju ludzkiego, dawniejszego od chronologii Genezy. Kamienie, nieforemne wyroby, zaliczane do *epoki kultury kamiennéj* nie mają chronologicznéj daty, a jak zkąd inąd wiadomo, używane były i w czasach historycznych. Otoczenie zaś, w którém je znaleziono, szczególnie ślady lasów sosnowych w Danii i pokłady torfu, mimo wszelkich usiłowań materyalistów, także nie dostarczyły żadnéj podstawy do jakichkolwiek chronologicznych domysłów. Możemy więc cały ten rozdział *przedhistorycznéj archeologii* odesłać spokojnie nie tylko do czasów, ale i do wywodów bajecznych; z kwestyą bowiem przez nas poruszoną, czy ludzie istnieli już przed historycznym, biblijnym Adamem, nie ma on żadnego związku i żadnego światła na nią rzucić nie potrafi.

(Ciąg dal. nast.)

KORESPONDENCYE.

(γ) **Rzym** d. 17. marca.

Korespondent γη. — Pytanie. — Kwestya polska i piemoncka. —

De Maistre i Wolter. — Dziennikarstwo polskie. — Wolność. — Wspólne przymioty. — Usiłowania Moskwy a Piemontu. — Papież i Polska. — Ruś. Litwa. — Mikołaj. — Co powinniśmy zrobić? — Państwo papiezkie i Polska. — Ultramontanie przyjaciele Polaków. — Antynarodowy. —

Tydzień drezdeński odnalazł swego korespondenta (γη), tą razą słusznie datującego listy swe ze Rzymu. Ten sam, co niegdyś wymowne pisywał artykuły o władzy doczesnéj Papieża w *Przeglądzie poznańskim*, jakże dziwnie przemawia w korespondencyi wspomnianéj! Jego poglądy dawniéj w téj saméj sprawie jasne, pełne życia i ciepła, zdawały się odzwierciedlać wewnętrzne przekonanie; dziś w sprawach najprostszych on Polak i jak sam twierdzi *katolik*, staje po stronie wyraźnie zaborców Rzymu. Nie myślę podejmować analizy listu tego w całości, bo sami pono ten smutny obowiązek spełnicie, wszakże chciałbym wiedzieć, co za różnica zachodzi między papieżem *panującym*, a *rządzącym*. Według korespondenta papież winien dla swobody i niezawisłości, po straceniu władzy świeckiéj, zostać *panującym*, a nie *rządzącym*. Panującym, nad kim? Czy istniał lub istnieje jaki panujący bez poddanych? — Mniejsza o to, że mu się tak bardzo krucyata rzymska podczas karnawału podobała dla tego, że szydziła z Kościoła i sług jego, mniejsza o to, że ciska kamieniem potępienia na rząd papiezki i kokietuje z rewolucyonistami włoskimi, mniejsza, mówię, o to, jeźli to *jego* tylko zdanie. Ale biada nam, biada Polsce, jeźli tego rodzaju teorye wsiąkną w jéj serce i jako rozczyn rozkładać będą siły nasze żywotne, pokrzepiane przecież ciągle siłą moralną, płynącą znikąd, jéno z katolicyzmu, którego sercem jest Rzym.

Dziś każdy nieuprzedzony wie, że kwestya włoska nie jest niczém inném, jedno nędznym plagiatem kwestyi polskiéj w odwrotnim stósunku. Moskwa i Piemont, Polska i Papież: oto synonimy gwałtu i siły brutalnéj z jednéj, a uciśnionego prawa i słuszności z drugiéj strony. Zachowanie się Włochów jest wiernym odbiciem postępowania Moskwy od czasu podziału Polski, który de Maistre (ultromontanin) nazwał łupieztwem najniegodziwszym (acte de brigandage le plus inique entre tous), a Wolter (poprzednik liberałów) w liście do Fryderyka *aktem geniuszu!* A gdyby de Maistre spoglądał swemi oczyma na zamach na Rzym, niewiem, jakiegoby w oburzeniu użył wyrazu. A przecież czasopisma polskie jedne milczą znacząco, drugie półgębkiem się odzywają, inne wprost idą ręka w rękę z prądem rewolucyjnym, który popchnął państwo włoskie do bombardowania Rzymu w imię rzekoméj wolności! Wiktor Emanuel i cesarz moskiewski zawsze w imię wolności występowali, to racya, ale zostawiają tylko wolność poddania gardła pod nóż, pozwalają stracić prawa, sumienie, godność, pozwalają oddychać, ale nie żyć.... Ileż przymiotów wspólnych posiadają ci dwaj bohaterowie, przed którymi Europa zastawiała się i zastawia parawanem nieinterwencyi! Reprezentant tylko siły moralnéj Papież, śmiał 22. kwietnia r. 1863 w liście do ciemiężcy nazwać pognębionych *(inclyta et praeclara Polonorum naetio)*, a w obronie własnéj ogłosić 1. listopada encyklike *Respicientes.* Najazd, wywłaszczenie, ciemięztwo, zdrada, sprzedajność, bezbożność, zamykanie klasztorów, seminariów, prześladowanie Kościoła, oto broń wspólna popleczników jedności włoskiéj i Moskwy. Zgnieść Polaków, wydrzeć im religią, oderwać od Papieża: oto maksyma rządu moskiewskiego; strącić papieztwo owe „monstrum rzymskie,“ wydrzeć religią z piersi Rzymian, odwrócić serca od Papieża, oto hasło wolnomyślących, będących dziś u steru we Włoszech. Czyż mogą temu przyklaskiwać Polacy, nie chcąc w téj saméj chwili podpisywać wyroku na siebie, jako na bratobójców własnéj macierzy? Papież, Głowa Kościoła, niezachwiany, jako przyjaciel nieszczęśliwego narodu krzepił modlitwą prywatną i publiczną, notami pełnemi energii wiarę jego, jak dowodzi na dokumentach historya lat ostatnich Polski Lescoeura, a przez to samo ścile podtrzymywał z nią skojarzoną narodowość. Jeśli dziś nie czujemy doli pokrzywdzonego Kościoła, znak to najlepszy, że nasz katolicyzm oziębł, że zimny posiew z Zachodu zmroził go, gdy tymczasem u braci za Kordonem, na Rusi i Litwie jest jedyną tamą naprzeciw Moskwie, która wiedząc dobrze, gdzie spoczywa duch narodu, zwróciła całe prześladowanie przeciw Kościołowi. Mikołaj sam w ciągu lat dziesięciu więcéj niż 36 ukazów ogłosił, a wszystkie wymierzone były przeciw Kościołowi katolickiemu, a ileż się nad nim napastwił jego następca!

Rozważywszy to wszystko, przyjść trzeba do wniosku, że stawając po stronie Piemontu w kwestyi rzymskiéj, konsekwentnie powinniśmy w zakresie naszym przyklaskiwać Moskwie. Państwo papiezkie abstrahując już od Opatrznościowego swego przeznaczenia dla dobra Kościoła, posiada nieprzedawnione prawa do bytu z historyi; tak samo i nasza ojczyzna; państwo papiezkie gwałtem podzielono raz, a teraz całkiem zagarnięto: Polskę także dzielono i zagarnięto; Papież i cały świat katolicki protestuje; Polacy protestowali w swojéj sprawie, a z nimi dziwna rzecz, znów tylko przy pierwszym rozbiorze Pius VII., a w dalszéj koleji jego następcy i świeczniki publicystyki ultramontańskiéj jak: Laserre, Veuillot, Montalembert, Dupanloup. Dla czego niektórzy panowie nasi w sprawie Papieża w widoczną wpadają sprzeczność z tradycyą narodową, dla czego teraz nie znachodzą się jako katolicy Polacy w obozie tych ultramontanów, którzy po ich stawali stronie? Dla czego dziś prąd jakiś zdaje się ich porywać do obozu tych, co widocznie są przedstawicielami gwałtu i bezprawia? Ha! jeźli tak, jeźli idea plemienna i aglomeraty szczepowe mają dogmatyczną racyę bytu z podeptaniem prawa natury, woli, historyi, woli ludu i sprawiedliwości, — natenczas dajcie dyplom Moskwie, nie sprzeciwiajcie się jéj w propagowaniu panslawizmu i schizmy, owszem odrzuciwszy wszelkie nadzieje, rzućcie się w jéj objęcia, a powiem, że logicznie robicie. Wtedy macie słuszność najzupełniejszą obrońców praw Kościoła i Głowy jego nazywając *anty-narodowymi*, bo Moskwie schizmatyckiéj ich postępowanie podobać się nie może. Tylko naprzód tą drogą, a pochłonie nas przepaść bez śladu....

(λ) **Rzym** d. 18. marca 1871 r.

Zajścia w kościele al Gesu. — Żołnierze w kościele. — Ksiądz hiszpański. — Ambasador. — Unita catt. — Posłuchania. — Fałszywe wieści. — Więzień Watykanski. — Klasztory zniesione. — Dzieci ze Szlązka. —

Zajścia dnia 10. przy kościele al Gesu, jak się spodziewać było można, partya ruchu po swojemu sili się wyzyskać na swoją korzyść. Wedle nich zaczepiającymi byli sami katolicy, Jezuici, a oni byli nieszczęśliwymi ofiarami. We wszystkich gazetach dowodzą, że fakt powyższy świadczy, iż Jezuitów dłużéj w Rzymie cierpieć nie można. Zastanawia tylko, że owe biedne liberalne ofiary w takiéj liczbie i z takim porządkiem się zebrali przed kościołem, daléj, że policya już rano o przygotowanym napadzie wiedziała, choć rzecz dziać się miała około południa, że daléj, wojsko dwie godziny przed wypadkiem odebrało rozporządzenia, aby stanęło do broni. Cała rzecz była po prostu ukartowaném dziełem towarzystwa tajemniczego, które w swojem zaślepieniu zamiast jedności włoskiéj dopomódz, owszem jéj szkodzi. Im więcéj takich będzie wypadków, tém oczywiściéj przekona się Europa, jaka jest wolność Papieża i jakie rękojmie wolności Kościoła. Ambasador austryacki miał podczas

rozruchu znajdować się sam w kościele i przyglądał się rozbijaniu kobiet, dzieci i mężczyzn gołemi szablami. Ambasador francuzki zaraz po katastrofie zaciągał na miejscu informacye. Ksiądz, którego przyaresztowano przy odprawianiu mszy św. wypuszczony na wolność i ogłosił list w *Osservatore*, opisujący jak okropnie bluźnili w jego obecności żołnierze gwardyi narodowéj przeciw Panu Jezusowi i Papieżowi; jak go chciano w albie i ornacie powlec do kwestury za to, że reflektował rozhukaną tłuszczę. Inny kapłan hiszpański ogłasza list w *Osservatore* z podpisem swoim, gdzie skarży się na stróżów mniemanych porządku, na żandarmów. Sądząc, że zasłoni się od zniewagi oświadczeniem, że jest kapłanem *hiszpańskim*, odebrał w odpowiedzi cięcie w głowę pałaszem, który się na szczęście zemknąwszy, tylko przeciął rewerendę i sprawił mocną kontuzyą. Rzecz doniósł ambasadorowi swemu, który natychmiast energiczne przedsięwziął kroki.

Unita catt., którą Agencya Stefani z konsystorzem tak w pole wywiodła, zamyśla agencyi wytoczyć proces za fałszywe podawane wiadomości, chociaż miesięcznie płaci przeszło 200 fr. za telegramy.

Ojciec św. ciągle przyjmuje w Watykanie najrozmaitsze osoby zdala i zbliża, które pragną pocieszyć Głowę Kościoła w jego uciśnieniu. Dowiaduję się, że się rozchodzą wieści między ludem, jakoby Ojciec św. był okuty w kajdanach i leżał na barłogu, z czego się liberalni bardzo gorszą i rzucają winę na księży, że fałszywe rozprzestrzeniają wieści. Kto czyta *Tygodnik* wie jak rzeczy stoją; za fałszywe pogłoski nie odpowiadają księża, bo któż temu zapobiedz może? Najlepszém lekarstwem byłoby publiczność zawiadamiać przez dzienniki sumiennie o rzeczywistym stanie rzeczy, ponieważ jednak Dzienniki polskie z małemi wyjątkami sprawę Ojca św. bardzo po macoszemu traktują, nie dziw, że do ludu z daleka dochodzą głosy przekształcające istotny stan rzeczy. Rzeczywiście Ojciec św. nie jest więźniem materyalnym, nie jęczy w kajdanach, ale jest jeńcem moralnym, jak to sam jednéj deputacyi powiedział. Materyalnie mówiąc, mógłby wyjść, ale moralnie nie, bo nie pozwala na to ni godność, ni honor. Ma się narażać na zaczepki ulicznéj hałastry, ma spoglądać na karykatury porozlepiane przeciw jego osobie po ulicach, ma patrzeć na kwirynalski pałac przeznaczony na konklawe, w którym dziś Togneti zasiada do stołu! Tak, Papież wyjdzie, ale już w najostatniejszéj potrzebie, gdy będzie trzeba Rzym opuścić. *La Capitale* odgraża się, że skoro wypadnie *italianissimom* z Rzymu się wynieść, zburzą w Rzymie wszystko: „Pocieszajcie się, mówi, podłe dusze księży, jeźli Rzym przyjdzie nam opuścić, nie zostawimy kamienia na kamieniu.“ Tak samo odgraża się czart, kiedy go exorcyzmują, że uśmierci opętanego, a opętany zdrowszym się staje.

Osiem klasztorów w tych dniach wypróżnić muszą, ażeby pomieścić całą machinę rządową. Między niemi znajduje się piękny kościół S. Andrea della Valle, kosciół Dominikanów Minerwy, św. Augustyna; za wynagrodzenie płacić rząd będzie maluczką resztę z kapitałów zabranych. Po téj grabieży spodziewać się można dalszych; OO. Jezuitów jeszcze nie znieśli, chociaż przeciw nim masonerya najbardziéj się miota.

Szlązkie dzieci złożyły adres Ojcu św. wraz z świętopietrzem, wiersze deklamował syn hrabiny niemieckiéj bawiącéj w Rzymie, a w deputacyi był także chłopczyna księgarza Spitkovera. Pius IX. serdecznie im podziękował.

Rzym d. 19. marca.

Mam wątpliwość, czy was wszystkie listy moje dochodzą, bo tu na poczcie panuje wielki nieład. Oddalili dawnych urzędników, a nowych przez źle zrozumianą oszczędność przysłali za mało. Zaczynam dziś od dobréj wiadomości. Pan Bóg poruszył serce księdza Arcybiskupa paryzkiego, i prałat ten poddał się bez żadnego zastrzeżenia, przyjmując bezwarunkowo decyzye Soboru. Pocieszyło to niezmiernie Ojca św. Pobożni zaprowadzają tu bardzo prostą, ale nową praktykę na cześć Serca Jezusowego. Praktyka ta zależy na tém, żeby co dzień wybrać sobie godzinę i w ciągu téj godziny, wszystko, nawet najdrobniejsze czynności ofiarować na uczczenie tego przenajświętszego Serca. Nazywa się to: odbywać wartę przy Sercu Zbawiciela. Rozszerza wzmiankowane nabożeństwo O. Ferrini i ma już tysiące ochotników. Ojciec św. ze swojéj strony nadał liczne odpusty. Pracują usilnie nawet w niedzielę i śwfęta, aby pałac na Monte Citorio i pałac Madama przysposobić dla dwóch izb parlamentu. Następujące klasztory zagrabiają na rzecz ministerstwa i dykasterye rządowe: klasztory św. Sylwestra, delle Vergini, Minerwy (Dominikanów), św. Augustyna, (Augustyanów), San Andrea della Valle (Teatynów), Dwunastu Apostołów (Franciszkanów), Chiesa Nuova (Filipinów) i św. Sylwestra na Kwirynale (Missyonarzy.) Zakonnicy i księża mają wypróżnić te lokale w ciągu miesiąca marca. Motłoch rewolucyjny coraz silniéj próbuje terroryzmu. W kościele del Gesu popełniono pare razy wielkie excesa, aby przeszkodzić kazaniom postnym. Wczoraj zebrane na placu przed kościołem bandy insultowały wchodzących, a potém wpadały do kościoła i pobiły mnóstwo osób. Ogólnie tu mniemają, że tak petycya o oddalenie Jezuitów, jak i te nieporządki pochodzą z poduszczenia sfer rządowych, gdzie szukają pretekstu do wypędzenia tych zakonników. Obawiamy się wielkich excesów na dzień św. Józefa, bo to imieniny Garibaldego.

— W dniu 6 marca Ojciec św. odprawił konsystorz, ale bez zwykłéj uroczystości, jedynie w celu, aby zaradzić naglącym potrzebom kościoła. Na tym konsystorzu prekonizował:

Na arcybiskupa Evora w Portugalii ks. Bilhano.

Na biskupa w Porto Vecchia (nowo kreowana dyecezya) w Rzeczyspolitéj Ekwatoru, ks. biskupa *in part.* Ludwika Tola.

Na biskupa w St. Pierre na Martynice ks. Fava.

Na biskupa w Würzburgu ks. Reissmann.

Na biskupa w Vittoria (nowo kreowana dyecezya) w Meksyku ks. Montes de Oca y Obregon.

Na biskupa Filadelfii *in part.*, msgr. Giordani.

Na biskupa Gerasa *in part.* ks. Ayres d'Ornellas de Vasconcellos, z przeznaczeniem go na koadjutora cum futura successione przy biskupie w Funchal.

Na biskupa Arsinoe *in part.* ks. Carcamo z przeznaczeniem go na koadjutora cum successione przy biskupie w San Salvador w Ameryce Środkowéj.

Na biskupa Joppejskiego *in part.* (tytuł ten nosił ks. biskup Łętowski) ks. Prucha z przeznaczeniem go na sufragana przy Jego Eminencyi Kardynale Arcybiskupie pragskim.

Na biskupa Dora *in part inf.* ks. Maioli wikaryusza kapitulnego w Rawennie.

Od miesiąca czerwca mianował Ojciec święty biskupami przez brevia:

Kardynała Patrizzi dziekana św. kollegium biskupem subarb. Ostyi i Velletri.

Kardynała Amat biskupem subarb. Porto i Santa Rufina.

Kardynała Sacconi biskupem subarb. w Palestrina.

Księdza Taschereau arcybiskupem w Quebec w Kanadzie.

Monsignora Olteanu biskupem grecko-rumuńskim w Lugos w Węgrzech.

Księdza Noettig biskupem w Bruenn w Morawii.

Księdza Cholet d'Outremont biskupem w Agen we Francyi.

Księdza Danell biskupem w Southwark.

Księdza Couray biskupem w Ardagh w Irlandyi.

Księdza Devitt biskupem w Raphoe w Irlandyi.

Księdza O'Rorke biskupem w Clonfert w Irlandyi.

Ojca Ignacego Pawła od Dzieciątka Jezus biskupem w Nicopolis w Bułgaryi, z przeznaczeniem go na administratora apostolskiego Wołoszczyzny.

Księdza Ricards na biskupa Retimo *in part.* z przeznaczeniem go na wikaryusza apostolskiego wschodniego okręgu Przylądka Dobréj Nadziei.

Księdza Carnevali biskupem Massimopolis *in part.* z przeznaczeniem go do Chin.

Księdza Leturdu na biskupa w Carico *in part.* z przeznaczeniem go na koadjutora wikaryusza apostolskiego w Zachodnim Siamie.

Księdza Fink, Benedyktyna, biskupem w Eucarpia *in part.* z przeznaczeniem go na koadjutora wikaryusza apostolskiego w Kansas.

Wniesiono przy téj sposobności o pallium dla arcybiskupa w Evora.

Z dekanatu Boreckiego.

Panie, iżaliś nie posiał dobrego nasienia na roli twojéj, zkąd tedy kąkol ma? i rzekł im: nieprzyjazny człowiek to uczynił. (Mat. 13).

Co to jest uderzyć w najsłabszą stronę człowieka, widzimy to namacalnie w obecnych sporach wyborczych. *Tygodnik Katolicki* wyjawił w ostatnim czasie bez ogródki pół na pół tajoną nienawiść do Kościoła św. w łonie pewnéj części naszéj tak zwanéj intelligencyi, uważając za potrzebne i bardzo na czasie ogłoszenie programu, przez większość znaczną duchowieństwa naszego podpisanego, jakiego się trzymać należy przy powierzaniu mandatów poselskich. A że program to kościelny, idący ręka w rękę z ruchem całego katolickiego świata, więc musiał wywołać napaść gwałtowną nieprzyjaciół Kościoła na tych, którym z urzędu i obowiązku w obronie sprawy bożéj katolikom Polakom przedłożyć go wypadało. Nie osobistości, udział tu biorące, nie pora spóźniona ogłoszenia Oświadczenia duchownych, nie regulamin wyborczy, nie zrywanie solidarności narodowéj przyczyną jest téj walki jaką w sprawie wyborów, z tych niby powodów podejmuje z zaciętością *Dziennik Poznański*, ale duch nieprzyjazny temu wszystkiemu, co się tyczy naszéj wiary, powiedzmy otwarcie, wróg Kościoła św. coraz bardziéj i śmieléj głową swą podnosi. Kardynalne zasady w programie wyborczym duchownych nie przypadają do smaku dzieciom tego świata, którym religia prawdziwa jest na zawadzie. Nie chcą Ojca św. znać niezależnym kierownikiem prawdziwego Kościoła, jako przystoi na Namiestnika Chrystusowego, bo czują, że na tym silnym filarze wspiera się potężna jedność nasza, że stamtąd tryska siła ożywcza prawdy na wszystkie strony, że tam czujna strażnica naszéj świętéj wiary, któréj oni nie kochają, któréj mieć nie chcą, któréj bój zacięty wypowiadają. Ale daremnie na tém polu „kruszą swe kopie", to prawdziwie powiedzieć można, bo nam zaręczył Pan Jezus, że *„portae inferi non praevalebunt"*. Nie chcą stowarzyszeń religijnych i zakonów, bo niemi zawsze Kościół święty się posługiwał na pożytek duchowny dusz wiernych, na staczanie mężnéj a wielce skutecznéj walki z odszczepieńcami, innowiercami; na rozszerzanie prawdziwéj wiary i cnoty po całym świecie. Nie chcą sakramentu małżeństwa, a wolełiby śluby cywilne, bo prawe katolickie małżeństwa są ogniskiem życia w świętéj wierze, bo ażeby zawierać je w kościele, trzeba iść do spowiedzi św., — ba nawet, na przedślubny egzamen katechizmowy. Nie chcą szkół konfesyjnych, bo i tu także ma religia przodować, duchowni mają swój wpływ kościelny wywierać, a to przecież obskurantyzm w ich rozumieniu.

Te zasady religijne, te punkta kardynalne, w programie wyborczym zawarte, a nie co innego są obecnego sporu prawdziwą przyczyną. Nieprzyjaciele Kościoła u nas nie chcą jeno jeszcze, albo raczéj nie śmieją, wystąpić otwarcie, bojąc się narazić sobie zdrowszą część społeczeństwa naszego katolicko-polskiego, która, dzięki Bogu, jest im jeszcze zbyt wielka. Potrzebując dla siebie zwolenników, przemyśliwają, jakby ich sobie spore gronko ułowić. Jużcić nie mogą z samych praktycznych dla siebie względów powiedzieć prawdy, że się nie piszą na zasady naszéj św. wiary, cóż im więc czynić wypada, tu sęk niemały, *hic haeret aqua.* Ależ oni zaradni, „bo synowie tego świata roztropniejsi są *w rodzaju swoim,* nad syny światłości". Daléjże więc, śmiało do dzieła! Zaczynają obracać na wszystkie strony owe cztery punkta Kościańskie, sromać się groźnie, że katolicyzm śmie dopominać się o swe prawa, wietrzyć na wszystkie strony, aby przecież coś wynaleźć, coby jawnie zaczepić można. Jakoś to rzecz nie łatwa, ale szczęśliwy pomysł przychodzi wreszcie im w pomoc. Stróże narodowości, okryci płaszczykiem miłości ojczyzny, rozwijają swą czujność, *ne quid detrimenti respublica capiat,* jakoby o zgrozo! Kościół św. ze swojemi zasadami, jakie Pan Jezus na ziemi zaszczepił, podkopywać chciał przywiązanie do kraju i łączność w narodzie. Ponieważ tedy zdaniem *Dziennika Pozn.* odrzucić trzeba program, którego poważnéj, kościelnéj treści zaczepić nie można, postawili więc nieprzyjaciele wiary św. rzucić się na towarzyszące mu okoliczności. To nie na czasie, wołają zatém, to pomysł tego lub owego dostojnika kościoła, lub tam jakiego małoznaczącego księdza; to ohydna intryga, bo to zrobił ks. prałat Koźmian, ks. Stagraczyński; to zrywanie z narodem, te podpisy w Oświadczeniu duchownych to przymusowe i podrobione, lub téż dokonane po kawie, po obiedzie, ba nawet po kolacyi, kiedy mający program wyborczy podpisać na spoczynek się zabierali, albo już spali. Takie to rzeczy podchwytują, ubierają w szumne frazesy, aby prawe katolickie zasady usunąć, aby wybiegami siłę i wpływ im odebrać, a przeciw nim wystąpić nie otwarcie, ale z pod pokrywki; i w tém to spoczywa przyczyna, że *Dziennik Pozn.* wiele głów prawdziwie katolickich obałamucił i zawrócił. Wszakże bez wielkiéj bystrości łatwo dojrzeć można, jak z poza ukrycia wyglądają nie tylko pazurki, ale całe szpony z owego *Dziennika,* niestety naszego! Jakiś kandydat poselski powiada, że bez oświadczenia się za władzą doczesną papieża można być bardzo dobrym katolikiem; inny *peregrinus in Israel,* nieświadom obietnicy Chrystusowéj, że daremną to pracą podnosić manifestacyą dla ruiny rzymskiéj, to znowu widocznie strawić nie może zakonów, zwłaszcza Jezuitów, których mianem cechuje wszystko, co najohydniejsze w jego rozumieniu. Jednakże nieprzyjaciele religii katolickiéj nie chcą jasno wypowiedzieć tu nagiéj prawdy, nie chcą objawić, o co im przedewszystkiem chodzi, t. j. o podkopanie fundamentu religijnego w naszym narodzie. W co właściwie i najwięcéj uderzają, to pozostaje niejako za kulisami. Chodzi im o poklaski dla Wiktora Emanuela, o okazanie radości na widok uciśnionego więźnia watykańskiego, o wpływ masoński na katolickopolską ludność naszą, aby przytłumić ducha religijnego i zniszczyć go, gdyby to stać się mogło; to źródło téj wrogiéj zaciętości i zuchwałego boju przyczyna. Lecz ponieważ swych prawdziwych zamiarów odsłonić nie mają odwagi, aby ich w całéj nagości nie okazać, a przeprowadzać w skrytości, usuwają a raczéj pragną usunąć to, co im jest na przeszkodzie, jak owe cztery punkta Kościańskie, występując niby to nie przeciw tamże wypowiedzianym zasadom, ale usiłując je koniecznie wykluczyć z obowiązków, jakie wkładają i włożyć mają prawo na swych mandataryuszów wyborcy; koniec końcem czy pod tym, czy owym pretekstem nie chcą, aby posłowie nasi w parlamencie jako istotną powinność wzięli na się w imieniu naszego społeczeństwa także i mandat obrony spraw naszego kościoła św. Wybiegami swojemi, udanym patryotyzmem, jakąś fałszywą miłością dla kraju osłaniają nienawiść względem religii.

Ale zapytajmy się zwolenników *Dziennika,* czyli tych, co z jego tylko tonu śpiewają i powtarzają piosnkę jego, jak za panią matką pacierz, na wywody i dowody *Tygodnika Kat.,* którego nie czytają, jak się to wykazuje z licznych korrespondencyi w *Dzienniku,* gdzie powtarzają na głową już pobite zarzuty, a znają go tylko z nieprzyjaznego jemu organu; spytajmy się téj całéj rzeszy wołającéj, wskazując na *Tygodnik*: „ukrzyżuj go", jakiego byłaby zdania, gdyby ten nasz organ pseudokatolicki był raczył przychylnie się wyrazić o oświadczeniu duchownych? Gdyby był wypowiedział swoję nadzieję, że nasi katoliccy, polscy posłowie katolickiego, polskiego narodu bez żadnego wyjątku chętnie przyjmą przedłożony im program wyborczy, bo broniącym praw św. kościoła nic nie stoi na przeszkodzie, iżby razem nie mogli bronić naszéj narodowości; gdyby był zawezwał ich i zagrzał gorącém słowem jak to uczynić był powinien, aby ten miły obowiązek względem praojców naszych wiary św. przyjęli ochotnie na barki swoje; gdyby był wyrazem braterskiéj miłości powitał duchownych, garnących się do urny wyborczéj, a pracujących tak skrzętnie dla naszego narodu; gdyby swą nienawiść dla kościoła św. był powściągnął, jeśli nie z wyższych względów, to przynajmniéj z miłości dla

naszéj matki Polski; wtenczas byłby się *Dziennik* okazał rzetelnym obrońcą interesów naszych, a mybyśmy się wszyscy ochoczo wkoło niego kupili. Solidarność nie byłaby zakłócona, nasi kandydaci poselscy, byliby odpowiadali na zapytania wyborców z godnością, któraby im pewno nie czyniła ujmy, boby prawych Polaków zdobiło prawe katolickie uczucie, byliby odpowiadali według religijnego swego sumienia, a nie byliby się odważyli na szorstkie „odprawy“, biorąc pewno bezwiednie pod swą protekcyą zamachy pseudoliberałów i radykałów naszych. W ten sposób byłaby rzecz na razie załatwioną, nie byłoby niegodnych, nędznych a wielce wstrętnych wycieczek przeciw władzy duchownéj i niektórym kapłanom, pracującym szczerze dla kraju i kościoła św.; nie byłoby tyle uprzedzenia do *Tygodnika Katolickiego* i tych, co go chętnie trzymają i do niego się odnoszą.

Gdy zaś ta arcyważna sprawa inny wzięła obrot, gdy zamiast przychylnego przyjęcia znalazła zaprzeczenie, szyderstwo, obelgi, na kogoż spada odpowiedzialność za wzburzenie i poważnienie tylu umysłów? Czy na tych, co jawnie wyznając Chrystusa, szerzą jego naukę w Kościele św. i chronią społeczeństwo ludzkie przed dążnościami antireligijnemi, czy téż raczéj na tych, którzy, choć zamaskowani pozorami, w gruncie rzeczy przeciw Kościołowi św. występują? Zdrowy rozum znajdzie tu łatwo odpowiedź. Prawda z objawienia bożego płynąca, zawsze ta sama, zawsze jeszcze w porę przychodzi tylko ją przyjmować trzeba ochotném sercem, a gdzie chodzi o chwałę Bożą i pożytek ludzki, nie godzi się gwałtem podejrzywać podstępu i intrygi, gdzie ich nie było i być nie mogło. Mamy nadzieję, że prędzéj czy późniéj oliwa na wierzch wypłynie, prawda zajaśnieje swym blaskiem, ockną się obałamuceni, posiany kąkol zniszczeje. Przekonają się uprzedzeni, że chodzi tu katolikom o katolickie zasady, nietylko nie stojące na zawadzie potrzebom kraju naszego, ale owszem ściśle z niemi złączone, a jednające nam wsparcie i błogosławieństwo Boże. Przywiązanie do wiary św., nie co innego, skłoniło tak znaczną liczbę duchownych do podpisania swego oświadczenia, przy którém za łaską Bożą mężnie wytrwamy. Któż tedy nas odłączy od miłości Chrystusowéj,“ mówimy z Pawłem św., „utrapienie? czyli ucisk? czyli głód? czyli nagość? czyli niebezpieczeństwo? czyli prześladowanie? czyli miecz?... Ale w tém wszystkiém przezwyciężamy dla tego, który nas umiłował. Albowiem pewienem, iż ani śmierć, ani żywot, ani aniołowie, ani księstwa ani mocarstwa, ani teraźniejsze rzeczy, ani przyszłe, ani moc, ani wysokość, ani głębokość, ani insze stworzenie, nie będzie nas mogło odłączyć od miłości Bożéj, która jest w Chrystusie Jezusie Panu naszym.“ (Paweł św. do Rzymian 8, 35.)

Ks. *Edmund Byczyński.*

Z dekanatu Śremskiego.

To wam rozkazuję, mówi Pan Jezus, abyście się społecznie miłowali. Pokój mój daję wam, pokój mój zostawuję wam.
(Jan 14.)

Wyjaśnić kwestyą byłoby to samo, co usunąć nieporozumienie, gdyby namiętności ludzkie usunąć można. Ale to się nie da zawsze uskutecznić. Czyż więc wszelkiemu wyjaśnieniu spornéj kwestyi dać pokój? Nie sądzę tak. Dla tego przedsięwziąłem skreślić kilka uwag o narodowości, przytaczając słowa Pisma św., które wiekopomny Skarga na czele swéj drugiéj mowy sejmowéj „o miłości ojczyzny“ położył.

Wnijdźmy medias in res.

Życie pochodzi od Boga; temsamém jest to rzecz dana, pozytywna. Wszelkie urabiane teorye o życiu wypłynęły ze zastanawiania się nad życiem; przeto nie życie pochodzi z teoryi, ale teorya jest skutkiem, wypływem życia. Jak życie indywidualne, podobnie i życie (byt) narodu, jest rzeczą daną, od Boga pochodzącą. Na poparcie tego zdania mamy wyraźne orzeczenie Pisma św.: „I uczynił (Bóg) z jednego wszystek rodzaj ludzki, aby mieszkali po wszystkiéj ziemi: zamierzywszy postanowione czasy i granice mieszkania ich.“ (Dz. ad. 17, 56.) Narodowość nie jest przeto, jak nie jest życie indywidualne w człowieku, wypływem teoryi, nauki: ale przeciwnie, wszelka nauka i teorya o narodowości wypłynęły ze zastanowienia się nad istniejącą już narodowością.

Bóg umieścił na kuli ziemskiéj w oznaczonych granicach pewną liczbę ludzi, którzy na podstawie tego samego pochodzenia, języka, na wspólności obyczajów, interesów materyalnych, na wspólności praw i religii w jedno zawiązali się towarzystwo.

Biorąc indywidualnie człowieka na uwagę, widzimy, jak się poczuwa z swemi siłami intelektualnemi i materyalnemi być zawisłym od wyższéj Istoty, która nie tylko mu wskazuje jego wyższy cel i przeznaczenie, ale nadto dopomaga mu do osiągnienia takowego — tę zaś zobopólną relacyą między Bogiem a człowiekiem nazywamy religią.

Podobnie ma się i w narodzie — i on wchodzić może w stóstunek ze Stwórcą nieba i ziemi.

Z tego co się powiedziało, możnaby dać definicyą o narodowości: iż uważając ją p r z e d m i o t o w o, będzie to cały zasób narodu, o którym to zasobie każdy pojedyńczy członek ma świadomość, czyli że każdy pojedyńczo jest tém przekonaniem i uczuciem przejęty, iż do owéj uorganizowanéj całości z swém pochodzeniem, językiem, z swemi interesami moralnemi i materyalnemi, i prawami należy — i to byłoby p r z e d m i o t o w e m pojęciem narodowości.

I to jest owa solidarność narodowa tak mocno człowiekowi wrodzona, iż dla niéj poświęca związki domowe, familijne a nawet i życie.

Nad ową jednością narodową góruje przecież wyższa idea jedności, to jest idea ludzkości. Naznaczoną mamy tę ideę ludzkości w słowach św. Pawła do Ateńczyków wyrzeczonych, a na jedności rodzaju ludzkiego opartą. Ta idea ludzkości obcą była starożytnym narodom, które wrogie naprzeciw sobie stały. *Homo homini ignotus est lupus,* było dewizą u Rzymian.

Odkąd ród ludzki dał wyraz swéj pysze w budowaniu wieży w Babel, nastąpiły rozmaite języki, które utrudniały zbliżenie się wzajemne narodów, a którego zbliżenia zresztą opatrzność bozka nie dozwalała, aby się wzajemnie narody pogańskie złem nie zarażały i owo złe w ten sposób się nie umocniło i niejako nie uwieczniło. Nie było w starożytności innego łącznego środka między narodami, jak podbój. Skoro przecież podbój następował, szło w ślad za tém złe, które nie tylko straszliwie we względzie moralnym działało, ale bytowi państwa zagrażało. Czarnemi farbami odmalował państwo rzymskie Sallustiusz w swym wstępie do opisu sprzysiężenia Katyliny. Gdy Rzym, mówi on, podbił inne narody, zburzył Kartaginę, gdy ziemia i morze otworem mu stały, wtenczas to wszystko burzyć i mięszać się poczęło. Wojsko dawniéj bitne i dzielne, wytrwałe na trudy i znoje wojenne, tocząc boje w Azyi pod Sullą przywykło do rozpusty, zbytków, rabunku świątyń, zaczęło pomiatać bozkiemi i ludzkiemi sprawy. Nie umie Sallustiusz innéj przyczyny wynaleść dla owego szerzącego się złego, jak los nienawistny, który podług jego zdania postępuje sobie z narodami podług upodobania — i nie dziw! — boć jako poganin nie znał świątem rządzącéj opatrzności.

Przez zetknięcie się narodów starożytnych między sobą rozszerzały się kulty religijne oparte na wyuzdaném bezeceństwie. Z Grecyi przeszedł do Rzymian kult Bachusa, a jakim był ten kult? Oto publicznie na ulicy płodzono bezwstyd na uczczenie tegoż bożka. Św. Paweł dając opis życia pogańskiego w swym liście do Rzymian I. 26, 32 zakończa go temi słowy, iż ci, którzy podobne rzeczy czynią, godni są śmierci.

Taki upadek przyszedł na narody starożytne i przyjść musiał, albowiem spójnikiem łączącym je nie była myśl dodatnia tj. bozka, ale negacya, która urzeczywistniając się w opozycyi ku Bogu, brzydkie owoce wydać musiała.

Z żłobka betleemskiego zaświeciło nowe światło dla świata, zjawiła się ludzkości idea chrześciańska, która przywiodła narody do świadomości o wspólności pochodzenia, nadto podniosła wspólność pochodzenia do wyższéj potęgi przez opowiadanie ewangelii, przez Chrzest św., urzeczywistniła zaś widomie tę jedność górującą ponad narodowości indywidualne w skale piotrowéj. (Tu es Petrus. Mat. 16.)

Przy budowli wieży babilońskiéj nastąpił odwrót od Boga, a tem samém rozproszenie i różnorodność języków; w dzień Zesłania Ducha św. nastąpiło przez rozmaitość języków zjednoczenie narodów przez wiarę (qui per diversitatem linguarum cunctarum gentes in unitatem fidei congregasti, śpiewa Kościół św. w antyfonie do Ducha św.).

Chrześciaństwo ukazując bezprzestannie wyższą ideę, do któréj każdy pojedyńczy człowiek jest powołanym, nie znosi, nie zaciera jego indywidualnego charakteru, jego władz duchownych,

jego stósunków familijnych, jego prac i zajęć ziemskich; lecz stara się jego władze duszy i ciała, jego stósunki ziemskie uszlachetnić, uzacnić, ująć w ład i porządek, aby człowiek nosząc na sobie piętno boże, odpowiedział celowi, do którego stworzony jest. Tym celem zaś jest chwała Bozka.

Podobnie nie znosi chrześciaństwo charakteru właściwego każdemu narodowi; nie przeszkadza rozwojowi jego sił intelektualnych, nie kładzie tamy jego interesom materyalnym, nie znosi jego właściwości ani praw; ale pragnie, aby te różnorodne narody, tworząc prąd życia przez swą rozmaitość, wyrabiały w sobie myśl bożą, dążąc do jedności przez naukę Chrystusową wskazaną.

Artysta malując obraz, daje każdéj osobie indywidualny charakter uwydatniony rysami twarzy, postawą ciała itp., a wszystko to służy do uwydatnienia myśli, którą sobie plastycznie wystawić zamierzył. Podobnie ma się z narodami względnie do idei bozkiéj, do któréj uznania i zrealizowania w życiu swem dążyć powinny pod karą zagłady. Siła dośrodkowa jest tutaj życiem; odśrodkowa śmiercią.

Jeżeli narody a temsamém narodowości są od Boga ustanowione, targanie się więc na ich zgubę byłoby gwałceniem porządku bozkiego. Na to, jeżeli kto, to kapłan odważyć się nie może. Niewczesne więc były owe zarzuty, jakoby antinarodowy kierunek z wyższych sfer duchownych pochodzić miał. Niemniéj czystą mrzonką jest ów zarzut, iż katolicy (rozumie się nie z imienia tylko) bacząc na wspólność swych przekonań religijnych, na ową jedność duchową i chcąc ją mieć uwydatnioną przy danéj sposobności, na bok puszczać mieli troskę o narodowość. Na sejmie jedno i drugie popierać mogą; wcale nie będą tam jakąś cyfrą inracyonalną, jak jeden z korespondentów do *Dziennika pozn.* się wyraził.

Jeżeli w liście arcypasterskim do p. Morawskiego nie było wzmianki o narodowości, toć przecie nie potrzeba koniecznie wzmiankować o rzeczy istniejącéj; ale należy wzmiankować o symptomatach grożących jéj sparaliżowaniem. Lékarz nie pyta o życie u chorego, ale zapobiegać stara się szkodom, grożącym utratą życia.

Troskę biskupią, aby idea chrześciaństwa przeniknęła zabiegi i starania ludzkie, na wzór kwasu, od którego wszystka mąka skwaśniała (Mat. 13.), nie godzi się na złe tłómaczyć.

Ztémwszystkiém czy przyjdzie do porozumienia zobopólnego? — boć to kwestya kardynalna. Przyjdzie, jeżeli zarzuty osnute na mrzonkach ucichną, jeżeli dobro powszechne bez inwektyw osobistych będzie na celu, do czego już Skarga w swém wtórém kazaniu sejmowém zgromadzonych posłów zachęcał.

Ks. pleban z pod Śremu.

Sulmierzyce *15. marca.*

Nadszedł czas, a nawet i nagli, ażebyśmy księża, którzy znanych 4 puntów Kościańskich nie podpisali, swoje zdanie o nich wyjawili. Przynajmniéj ja dłużéj milczeć nie chcę, bo organa publiczne, które się nami od samego początku sporu jako małoletniemi opiekują, które nasze usposobienia i myśli odgadnąć pragną, częstokroć się z prawdą mijają, albo nam też inne intencye przypisują. Z resztą od czego i pióro, kiedy niem można zarzuty niesłuszne odeprzeć, wątpliwości objaśnić, ciekawości zaspokoić, a w najważniejszéj kwestyi, jaką bez wątpienia jest religia i narodowość, własne swe przekonanie bez ogrodki wypowiedzieć. — *Dziennik poznański* pasował nas księży, którzyśmy punktów Kościańskich nie podpisali, na rycerzy, żeśmy wiernymi pozostali przy sztandarze narodowym. Ale proszę, po co tak kadzić? kiedyśmy w naszych kniejach podczas oborów do opuszczenia obozu narodowego przez nikogo nigdy nagabywanymi nie byli, ani nam też nigdy taka grzeszna myśl w głowie nie zaświtała. Kochać zaś swój kraj, swoją narodowość, swój język, jest to powinnością i obowiązkiem każdego z nas, a nie osobistą zasługą. *Dulce et decorum est pro patria mori*, mówi Horacy, a nam nie miałoby być słodko i miło dla ojczyzny pracować? Dopóki katolik i Polak było jedno i to samo, byliśmy narodem wielkim i potężnym. Wtenczas zwano nas też wiarusami, bośmy naszą Rzecz pospolitą na wierze opierali i wskroś wiarą przejęci byli, narodzony syn ojczyzny ziemskiéj, odradzał się przez Chrzest święty na syna ojczyzny niebieskiéj. Lecz kiedy niewiara wkradła się w łono naszego narodu przez tak nazwaną reformacyą, kiedy już Polak, a katolik, co innego znaczyło, runęliśmy niestety, jak dziś Francya. Żeby tedy podnieść się z tego upadku, koniecznie trzeba nam znów zwrócić serca nasze ku Bogu i narodowość naszą oprzeć na religii, któréj bramy piekielne nie przemogą. Nie chcemy tedy żadnych pochwał, kiedy dla ojczyzny swą powinność pełnimy, ale za to prosimy Szanownego Redaktora *Dziennika* i jego zwolenników, aby niewinnie księży palcami publicznie nie wytykali, artykułów zaprawnych żółcią przeciw Rządzcom kościoła nie umieszczali, przeciwko świeckiéj władzy Stolicy Apostolskiéj nie występowali, i kandydatów nieprzychylnych duchowieństwu na posłów nie przedstawiali, bo się to nie godzi, nas rani, a najwięcéj na tém cierpi narodowość nasza, jak się niestety, tą razą pokazało. — *Tygodnik* zaś nazywa nas małodusznymi, co ja zowiem tchórzami, jakobyśmy z obawy przed świeckiemi za mało odwagi mieli, aby jawnie wystąpić i swoje zdanie wypowiedzieć. Ale uchowaj Boże! tak nie jest! My się świata nie bojemy, ani się też za nim nie oglądamy! Gdzieby miało chodzić o naruszenie jakiego dogmatu wiary naszéj świętéj, tam naraz do boju staniemy, a wtedy ani ryczące lwy, ani drapieżne wilki, ani groźne hieny nas nigdy nie ustraszą i od jedności wiary nie odłączą. „Jeruzalem, gdybym o tobie miał kiedyś zapomnieć, niechajby język przysechł do podniebienia mego i ręka uschła u ramienia mego.“ Stąd zatem wynika, iż przeciw 4 punktom Kościańskim nic mieć nie możemy, ale nie posłaliśmy swych podpisów, bośmy do tego urzędowo przez żadną Władzę nie byli zapozwani, ani też nazwisk Zwierzchników naszych pod niemi umieszczonych nie widzieli. Naczelnicy nasi, którzy nawą kościoła kierują i którzy na straży naszéj i religii narodowości stoją, najlepiéj muszą wiedzieć, czemu swemi podpisami owych punktów nie zatwierdzają, a myśmy, jak mniemam, sobie roztropnie i oględnie postąpili, żeśmy się według ich przykładu zastósowali. Jak słonecznik według słońca się kieruje, tak my według rozkazu i woli Najprzewielebniejszego naszego Arcypasterza i Prymasa. Z resztą myśmy mieli w naszéj stronie takiego kandydata, na którego śmiało i sumiennie głosować mogliśmy, a zarazem powiadamy, że i inną razą tylko na gorliwego katolika i dobrego Polaka głosować będziemy. Atoli przez to publiczne wyznanie bynajmniéj nie chcemy ubliżyć rodakom naszym, który są innego wyznania, bo ich lubimy i ich zasługi względem ojczyzny wysoko ceniemy, ale gdzie chodzi o to, co nam powinno być najświętszém i najdroższém, to już tam chcemy być reprezentowanymi w całéj sile i powadze; w pełności, a nie połowicznie: wiarą i narodowością. Posłowie z temi zaletami zawsze mogą polskość zastąpić, ale wy panowie, będąc posłami, nie zawsze moglibyście katolicyzm zastąpić, a przynajmniéj my nie moglibyśmy po was tego wymagać, zależałoby to tylko od waszéj dobréj woli. Gdyby zaś miało na przyszłość przyjść do kompromisu, abyście za to, że na naszych posłów w kilkunastu powiatach swe głosy oddacie, także jednego posła z grona swego na sejm wysłać chcieli, to przecież ludzie dobréj woli zawsze się ze sobą porozumieć mogą, aby wybory jak najpomyślniéj dla kościoła i narodowości naszéj wypadły. Nie podejrzywajcie nas tedy o zdradę i odstępstwo, lecz pracujcie dla Polski, bo i my z wami dla jéj i Kościoła dobra pracować nie poprzestaniemy, a dałby Bóg, żeby zgoda jak najprędzéj nastąpiła i nas na zawsze w ścisłą całość i jedność połączyła.

Ks. Kolany.

Mamy zamiar nie zamieszczać już więcéj listów odnoszących się do niedawnego zajścia, wszelako niepodobna nam było odmówić gościnności kilku ważniejszym korespondencyom. Księdzu Kolanemu zwłaszcza, który tłomaczy stanowisko księży co nie podpisali oświadczenia, głosu odmówić nie możemy. Jedną mu tylko zrobimy uwagę: myśmy nigdy nie sądzili pobudek tych, którzy do oświadczenia nie przystąpili, i Redakcya *Tygodnika* nie użyła wyrazu małoduszni.

Pelplin, *19. marca.*

Gazeta Toruńska, która ostatniemi czasy szczególne jakieś upodobanie w jałowéj szermierce słowami i w subtelnych distynkcyach znajduje, — z jaką korzyścią dla sprawy, któréj bronić usiłuje, niech sama patrzy — z widoczną do duchowieństwa przymówką podnosi, że na Szlązku samych katolickich Niemców wybrano, a żadnego Polaka. Czy to może też ma być sprawką *polskich* ultramontanów? O ile wiem, żaden z nich do komitetu ani berlińskiego, ani filii jego wrocławskiéj nie należy. Przeciw kandydaturze Ligonia lub innego katolickiego Polaka z pewnością ani *Tygodnik,* ani żaden z jego zwolenników nic nie będzie miał do nadmienienia. Występować zaś przeciw wybranym katolickim Niemcom *Tygodnik katolicki* nie ma powodu, gdyż przez nich zagrożone nie są interesa kościelne, których obrona jego głównym powinna być zadaniem. Interesów narodowych bronić jest rzeczą organów świeckich, ale tymczasem widać pa-

tryotyzm naszych dzienników politycznych po nich wymaga w pierwszym rzędzie walkę na zabój przeciw zgubnym, jak mniemają, zasadom niepoprawnych ultramontanów polskich. — Czemuż, jeżeli zasady *Tygodnika katolickiego*, jak przynajmniéj z rozumowania Gazety wynikać się zdaje, przeszkodą być mają w osiągnieniu korzystniejszych rezultatów pod względem narodowym, nie spróbuje *Gazeta Toruńska* z swojemi szczęścia, albo jeżeliby te nie miały być dość jasne i wyraźne, czemu nie usiłuje zaszczepić u poczciwych Szlązaków wcale niedwuznacznych już zasad i to postępowych, nowopolskiego autoramentu, według katechizmu drezdeńskiego z komentarzem np. *Dziennika?*

Gdzież to u was, panowie, został rozum polityczny, do którego się tak często odwołujecie?

Wszakże każda zdrowa polityka obliczać się powinna z rzeczywistością, opierać na własnościach i dążnościach ludu. Możecie tedy twierdzić, że wasz absolutny, od wszelkiéj religii odłączony patryotyzm, wasze bezwzględne stanowisko jest też i ludu naszego stanowiskiem? Nie wiecież, że u niego katolik i Polak znaczy to samo? Zarzucicie mi, że to jest konfundowaniem rzeczy różnych, powstałym z niewiadomości. Dobrze, ale jest faktem. Przetłomaczcie ludowi *swoje* zasady na język zrozumiały, postawcie mu je przed oczy w całéj ich nagości, a zobaczycie, jaki wtedy będzie rezultat wyborów naszych. Nie przywłaszczając sobie wcale jasnowidzenia, zdaje się, iż mogę kategorycznie twierdzić, żebyście u nas utracili całe Kaszuby, prawdopodobnie nawet wszystkie powiaty po lewéj stronie Wisły, a kto wie, czy nie i po prawéj; ale prawda, zostałaby wam nadzieja (nawiasem mówiąc, bardza problematyczna), iż *może* przyłączą się do was kiedyś protestanckie Mazury.

Nikt, myślę, nie będzie tak naiwny, żeby się w téj mierze na seryo oddawał jakimś illuzyom. Rezultat dotychczasowych obiorów dla tego tylko był tak korzystny, że albo wyraźnie albo implicite powodowały obórcami względy religijne Zastanówcie się więc trochę, czy stanowisko *wyłącznie* polityczne jest stanowiskiem ludowym, stanowiskiem prawdziwie polskim, czy też może nic więcéj jak doktrynerstwo, towar zagraniczny. Jak za życia nigdy nie można zupełnie odłączyć ciała od duszy, tak też ani spraw politycznych od spraw kościelnych, a nikt może nie wkracza więcéj w dziedzinę czysto kościelną, jak właśnie owi politycy, co się głośno do teoryi podzielności przyznawają. Postulat Cavoura „wolny Kościół w wolnym państwie“ zbyt jaskrawe znalazł obecnie w Włoszech rozwiązanie, żeby warto było jeszcze wiele o nim mówić, chybaby podług was, panowie, wystarczała dla Kościoła wolność taka, w jaką pod rządami moskiewskiemi obfituje.

Jak lud, tak też i znaczna liczba światłych obywateli naszych nie życzy sobie u nas rozdziału spraw politycznych od religijnych w waszym rozumieniu; a duchowieństwo, które po większéj części z pośród ludu wyszło, w kraju prawie wyłącznie wykształcenie swoje odebrało, z ludem i pomiędzy ludem pracuje i stąd potrzeby jego najlepiéj znać może, temu rozdziałowi wręcz jest przeciwne.

Ilu więc was zostaje? Mała garstka doktrynerów, która najwraźliwsze lata młodości w wrogiéj dla religii i narodowości naszéj sferze, w Wrocławiu, Berlinie lub Gryfii przepędziła i przejąwszy się tam teoryami Gneistów, Virchowów i Micheletów, z przymieszką pewnych utopii emigracyjnych, mniema być w posiadaniu niezawodnego talizmanu na wszystkie grożące narodowi naszemu niebezpieczeństwa i wyłącznego patentu na leczenie wszystkich rzeczywistych i urojonych chorób społeczeństwa naszego. Z prawdziwie apostolską gorliwością starają się tedy powróciwszy do kraju ci patentowani, teorye swoje za pomocą prasy tak politycznéj jak belletrystycznéj, na zgromadzeniach publicznych jak i prywatnych, w życie wprowadzić i na rozchorzałym naszym ciele narodowym jakby *in anima vili* doświadczenia swe robić, choćby przy tych experymentach i cały organizm paść miał trupem. Któż więc tu sprowadza stosunki na wzór belgijskich, czy duchowieństwo, obstające za tradycyonalnym religijno-narodowym ustrojem, czy też nasi nowomodni liberaliści, chwytający się wylęgłych na obcym gruncie teoryi jako ostatecznéj kotwicy zbawienia? Nie więc ciągłym wołaniem, że stosunki się u nas rozwijają na sposób belgijski, ale poważnym i bezstronnym rozważeniem przyczyn i usunięciem choćby tylko najbardziéj rażących zapobieży się złemu. Duchowieństwo ze swéj strony głosując na pp. Niegolewskiego, Kwileckiego itd., mimo osobistych uraz, zdaje mi się, dość jawnie okazuje ducha pojednawczego; trzeba więc tylko z strony przeciwnéj przyjąć podaną do zgody rękę. Czy może nowomodny patryotyzm na tym ma polegać, żeby z góry nic nie przyjąć, co pochodzi od duchowieństwa, jakeśmy się do sytości tego naczytali w *Dzienniku poznańskim?*

Pas de rêveries, panowie, wołam, lubo naturalnie w innym sensie niż car moskiewski, was obce żywioły coraz daléj wypierają, koło wasze coraz bardziéj się ścieśnia, jeden posterunek po drugim jako stracony opuszczacie, ale tam, gdzie wy dotrzymać nie możecie, zostaje duchowieństwo i pielęgnuje jak może te dwie najdroższe spuścizny po ojcach naszych, wiarę i język, idąc w téj mierze w ślady bozkiego Zbawiciela naszego. Ale jak Jego za nieprzyjaciela narodu okrzyczano, tak i wy nas okrzyczacie za zdrajców i podsuwacie nam obojętność, jeźli nie wprost zgubne zamiary względem narodowości naszéj. Jeźli nam nie wierzycie, wierzcie wspólnym przeciwnikom naszym, którzy jawnie wyznają, że was się nie boją, ale wszystkiemi siłami szturmują przeciw *ultramontańskim* Polakom, jak to w tych dniach uczynił Kwidzyński komitet wyborczy w odezwie swojéj względem p. hr. Sierakowskiego.

Starajcie się więc poznać rzeczywiście położenie nasze, oceńcie je sprawiedliwie, uwzględnijcie *wszystkie* potrzeby nasze, a porozumienie łatwo nastąpi, bo ostatecznie nie może tu chodzić o słowa, o jakieś martwe formuły tak z jednéj jak z drugiéj strony, ale o ducha. O to tylko prosić musimy, żeby sobie nie przywłaszczali monopolu patryotyzmu ci, którzy prócz szumnéj jakiéj mówki w jednym z naszych zgromadzeń lub gromiącego artykułu przeciw ultramontanom w *Dzienniku* nic więcéj dla dobra ludu nie uczynili. W prawdzie radzi *Gazeta Toruńska* świeckiéj intelligencyi zająć się szczerze u nas potrzebami ludu i do niego się zniżyć, jak to czyni duchowieństwo. Oby to chciało jak najprędzéj nastąpić! Najniezawodniejszy to sposób pomnożenia liczby ultramontanów. Kto się szczerze i w dobréj intencyi zajmie żmudną ale wdzięczną pracą około ludu, a nie tylko dla próżnéj fanfaronady, najlepszą będzie miał sposobność poznać i razem pokochać jego religijność i zdrowy rozsądek; ten już nie będzie lekceważył i wyśmiewał to, co lud za święte uważa i co się jak najściśléj zrosło z jego narodową indywidualnością; ten nie będzie już śmiał w wątpliwość podawać, o czym lud nie wątpi, ani starał się, by mu wpoić różnicę pomiędzy katolikiem a ultramontanem; ten nie będzie mu zapewne jako strawę duchowną polecał takich rzeczy jak Gordona notatki z podróży w *Sobótce* lub żółcią napełnione tendencyjne romanse p. Kraszewskiego. Jeżeli ten zwrot wkrótce nastąpi, będzie to najpiękniejszym owocem obecnych niemiłych rozterek, pozwoli nam duchownym wyłącznie się zająć wypełnianiem ściślejszych obowiązków naszych i zdać na świeckich cały ciężar rzeczy światowych i — głosować nawet na Kalwina, skoro już będziem mieli pewność, że w reprezentacyi naszego narodu nawskroś jeszcze katolickiego w danym razie i religijne interesa mandantów obronę znajdą.

Nakoniec mogę zaspokoić i ciekawość *Gazety Toruńskiéj* co do wyborów w Złotowskim. Ile tu w Pelplinie wiadomo, żaden Polak nie brał udziału w agitacyi przeciw p. Kalksteinowi; jeżeli gdziekolwiek co podobnego się działo, to już z pewnością nie ze strony *polskich* ultramontanów. Na tego rodzaju niedogodności nie ma inszéj rady jak zachęcać lud do posyłania synów swoich do wyższych zakładów naukowych, aby przynajmniéj miejsca w polskich okolicach polskimi księżmi mogły być obsadzone. Szczególnie zaś byłoby do życzenia, żeby synowie z naszych familii obywatelskich więcéj do stanu duchownego się garnęli; bo jak dotychczas, mała tylko liczba kończy szkoły, a z tych, co je ukończyli, przynajmniéj 80% inne zawody sobie obiera.

Rok 1870.

Nie jest rzeczą ani naszego zadania, ani naszych zwyczajów przedrukowywać artykuły z dzienników; jednakże znajdujemy w *Bien public* z 31 grudnia przegląd r. 1870

tak odpowiadający naszym ideom i zasadom, że chcemy na ten raz odstąpić od naszych prawideł.

Przyjaciele nasi z Niemiec, Francyi i Włoch, przeczytawszy ten wyborny artykuł, snadnie przebaczą nam, żeśmy ich z nim zapoznali.

* * *

I oto skończony ten cudowny rok 1870, rok Soboru, rok wojny, rok wzięcia Rzymu i oblężenia Paryża!

Zapadł on w przeszłość, ale nie w zapomnienie!

Długo będzie budził podziwienie historyi, długo będzie przypominał tryumfy prawdy i sądy boże.

Ileż wypadków napełniło te dwanaśnie dopiero co ubiegłych miesięcy! I jakżeż czytać można na każdéj karcie dzienników kończących się z dniem dzisiejszym te najwyższe wyroki, w których wielki hrabia de Maistre podziwiał *doczesne rządy Opatrzności*.

Wbrew wszelkim przewidzeniom ludzkiéj polityki, otwarto Sobór powszechny w Rzymie w dniu oznaczonym zawczasu przez Piusa IX.

Sobór ten dokonał wielkich rzeczy. Postawił na nowo we właściwym blasku źródłowe prawdy religii, porządek natury i porządek łaski, określił niezmienną i wspaniałą harmonią rozumu i wiary, dał nareście sankcyą uroczystą tradycyi wieków i zatwierdził na zawsze najwyższą i nieomylną władzę Namiestpika Jezusa Chrystusa.

W chwili, gdy rok 1870, który widział te uroczyste posiedzenia episkopatu, odkrusza się jak zeschły liść od drzewa wieków i spada w otchłanie wieczności, słodko nam jest schwycić raz jeszcze sposobność oświadczenia całego naszego poddania się wyrokom sumienia. Przyjęliśmy je jako wyrocznie Ducha św., przyswajamy je sobie jako światło dla naszych rozumów i jako wskazówkę naszego żywota. To stanowisko, jak silnie jesteśmy przekonani, zajmie także cały katolicyzm.

Tak więc przez to powszechne posłuszeństwo wyrokom Soboru i pasterza pasterzy wyrównają się drogi otwierające się przed świętem i wysokiem zgromadzeniem. Wskazawszy umysłom zbawczą latarnią, mającą je kierować, Sobór przypomni współczesnym narodom zbyt długo zapomniane i tak często nieuznawane prawa społeczeństw chrześciańskich. Błagajmy miłosierdzia Bożego o łaskę otrzymania wkrótce tych ku poprawie naszéj wiadomości; błagajmy szczególniéj, iżby padły w dobrze przysposobione serca i przyniosły okwite owoce odrodzenia i zbawienia. Przerwa z musu, jakiéj uległy prace Soboru, nie powinna osłabiać nadziei. Opatrzność chciała, ażeby wypadki przygotowały ludzi do lepszego przyjęcia nauk Kościoła. Wielki grzéch współczesnego społeczeństwa jest grzéch pychy, pragnącéj zepchnąć z tronu Boga dla większego uwielbienia samego siebie. Nigdy współczesne narody, nadęte swą potęgą, olśnione znikomą swą świetnością, uważające się za najwyższych władzców swych losów, nie byłyby się chciały zająć pod inną, jak własną, przewagą, i uznać w swych prawodawstwach najwyższéj powagi Pana ludów i królów. Trza było, iżby ujrzały własnymi oczyma kilka miesięcy do zniszczenia téj złudnéj pomyślności. Wszelka siła uczuła swoją nędzę, a wszelka mądrość próżność swą. Kościół, prawda, także był dotknięty burzą — nowy islamizm zawładnął Rzymem. Papież jest jeńcem w Watykanie, a Wiktor wyklęty skalał swą obecnością metropolią chrześciańskiego świata. Widowisko to dane jest niewątpliwie ku wzruszeniu serc naszych i wzbudzeniu w nich energicznych a szlachetnych postanowień. Ale nie powinno ono wydać dusz naszych naciskowi małoduszności, nie powinno uczynić nas przystępnymi podszeptom zniechęcenia. Godna oblubienica Jezusa Chrystusa, Kościół św. idzie jak On bolesną ścieżką Kalwaryi i spełnia dzieło odkupienia i zbawienia, tylko krzyż niosąc. Dzieje prześladowań jego są także skutkiem jego tryumfów.

Wielki ruch odbywa się w obecnéj chwili w całym świecie katolickim. Cudowne zbliżenie się ludów i papieztwa, ten wielki fakt XIX. wieku, objawia się dzisiaj po całéj ziemi. Nie masz narodu, choćby najbardziéj oddalonego, któryby się nie jednoczył w cierpieniach i próbach z kapłanem królem. Jakże sądzić, że to rozbudzenie się powszechne doprowadzi tylko do bezpłodnych demonstracyi? Jest w tém siła skuteczna, żywotna, nieodparta, szukająca sobie wyjścia, które znajdzie, a z którą liczyć się muszą, wcześniéj niż sądzą potęgi tego świata.

Jesteśmy w epoce ruin i odbudowań, nieuleczonych upadków i zwycięzkiego postępu. Co ma zginąć, zginie, lecz co ma przeżyć, ocaleje, wzrośnie, spotężnieje. Możliwą jest i prawdopodobną, że społeczeństwa urzędowe, sądzące, że mogą żyć bez Boga, umrą z wycieńczenia w ateizmie i hańbie odszczepieństwa, lecz pewnem jest także, iż dopóki są Chrześcianie na ziemi, znajdzie się na niéj nasienie nowego społeczeństwa i zarodek lepszéj przyszłości.

Taką jest nasza wiara, takie są nasze nadzieje. I oto dla czego siedząc na wybrzeżu praw wiekuistych, spoglądamy na przechodzących ludzi i wypadki, zapytując ich o tajemnicę sądów Bożych. Ta walka krwawa, straszna, sroga, tocząca się przed naszemi oczyma, ma w sobie tajemnice przejmujące pomięszaniem przewidzenia polityków i przenikliwość mędrków, które zgłębia wszakże światło wiary. Wojna jest złem bez wątpienia, ale wchodzi w plany Boże. Przez płonne ruchy ludzkie idąc do swych celów, zdoła On nawet z nieładu naszego zrobić narzędzie porządku, który ustanowił. Nie chcielibyśmy przecież sądzić, że posłannictwo Francyi skończone i że nie ma już ani rozdziału dla przydania go do tych bohaterskich dziejów, zowiących się w rocznikach świata: *Gesta dei per Francos*.

Naród francuzki jest obdarzony cudowną siłą wylania się, niepodobną do wiary łatwością propagandy i potrafi używać tych darów tak dla dobra, jak i na złe. Zbyt często, od dziewięćdziesięciu lat i więcéj nadużywał on téj potęgi i stał się dla świata żołnierzem rewolucyi, a rozsiewaczem apostazyi społecznéj. Wielki ten naród, co winien tyle Bogu, pierwszy był do wypędzenia Boga ze swego prawodawstwa, i zniewolił inne narody do naśladowania tego opłakanego przykładu. Od owego czasu ulegał karze za swą niewierność, wpadając w rewolucyą, wahając się od dyktatury do anarchii i odnajdując chwilowo porządek, pokój i chwałę tylko wtedy, gdy skutkiem szczęśliwéj konsekwencyi wspomniał o swém opatrznościowém posłannictwie. Obecna wojna była zastosowaniem jawném tego prawa sprawiedliwości Bożéj....

Bóg może doswiadczyć kraj ten szlachetny — ale dla uczynienia go godnym jego wysokich przeznaczeń; Bóg może go skąpać we krwi, ale dla zmycia zeń skazy odszczepieństwa.

Rok 1870 skończył się więc, pozostawiając nas z wielkiemi nieszczęściami i wielkiemi naukami na progu tajemniczéj przyszłości. Ale cokolwiek się zdarzy, i jakiekolwiek mogą być następstwa wojny, w Rzymie to rozwiążą się przerażające zagadnienia ciężące obecnie na świecie. Stąd to powinno przyjść światło jedynie mogące ocalić narody tak jak ztąd, t. j. przez odbudawanie tronu papiezkiego, powinien się zacząć powrót porządku chrześciańskiego, zniszczonego przez barbarzyństwo rewolucyjne. Zwróćmy więc teraz więcéj niż kiedykolwiek oczy nasze ku téj kazalnicy Piotrowéj, stojącéj u szczytu ludzkości ku oświeceniu ludzi i narodów! Wspomagajmy w miarę naszego wpływu ten szczytny wysiłek gorliwości katolickiéj, któréj widzieliśmy tego roku i zobaczymy jeszcze tak wielkie i piękne objawy.

Tu jest nadzieja teraźniejszości, tu zbawienie przyszłości. Niechaj ludy zbliżą się do papieztwa, by ono stało się z kolei pośrednikiem w ich pojednaniu się z Bogiem. W ten sposób roztoczą się przed społeczeństwami nowe drogi i dni szczęśliwsze. Wtedy narody wyćwiczone w szkole ofiary i nieszczęścia, odnajdą z przyrodzoną sobie energią poczucie swego chrześciańskiego celu: szczęśliwe, ponieważ kochać będą Chrystusa, wielkie, ponieważ zapragną mu służyć i rozszerzać jego panowanie!

* * *

Powyższe słowa nie tylko są przeglądem ubiegłego roku, ale i programem przyszłości. O tak, rzuciwszy z redaktorami *Bien public* spojrzenie głębokiego smutku na tworzące się ruiny, witamy razem z zapałem przysposobiającą się budowę. Jak oni, wierzymy, że pycha to, będąc matką i przyczyną wszystkich błędów rewolucyi, jest zarazem powodem nieszczęść, które w téj chwili zakrwawiają świat. Pycha to szatan — pokora to sam Jezus Chrystus. O świcie więc obecnych przesileń Bóg zesłał w głosie Kościoła zbawienie dla ludzkości. Do tego żądał od niéj jednego tylko aktu, aktu pokory, pod-

dania się. A ludzkość nie chciała. Nad posłuszeństwo słowu Bożemu przeniosła ona wiarę w słowo człowieka. I przyszedł potop. Wtedy Kościół się skupił, jak arka pływa on ponad burzami, unosząc w swem łonie nadzieję rodu ludzkiego i oczekując aż wody się zniżą, dla przyniesienia ludziom słowa pokoju. Ujrzymy wtedy Kościół, na nowo otwierający swe posiedzenia, rozpoczynający swe wielkie nauki, a ludzkość złamana wstydem i skruchą, wyznając wreście, że bez Boga wszelka siła jest słabością, a wszelka mądrość próżność tylko, przyjmie nieomylność kapłana, siedzącego na Stolicy Piotrowéj, jak tęczę przyszłości, jak znamię nowego przymierza, i wyzna głośno Jezusa Chrystusa swym najwyższym naczelnikiem, a Kościół prawodawcą. *(Corresp. de Genève.)*

Wypadki w kościele del Gesù w Rzymie.

d. 10 marca 1871.

(przekład włoskiego manuskryptu.)*)

Niegodziwe i nieprzyjazne usposobienie włoskiego rządu dla kościoła i wszystkiego, co z nim złączone, które bezustannie w Rzymie się objawia, zostało uroczyście stwierdzoném przez wypadki, które miały miejsce 10. b. m. w słynnym kościele del Gesu i na placu przed nim.

Na wielkopostném rannem kazaniu znajdowało się kilku oficerów z gwardyi narodowéj, z których jeden wyraźne dawał oznaki nieukontentowania i powtarzał, wprawdzie stłumionym głosem, szydercze słowa. Były one słyszane przez obecnych, którzy jedynie przez wzgląd na świętość miejsca zdobyli się na cierpliwość. Dopiero po kazaniu, gdy ów gwardzista przed kościołem coraz bezbożniéj szydził i z obecnych i ze słowa bożego, powstała kłótnia, podczas któréj obie strony poczęły bić się kijami a pierwszy ów burzyciel odniósł lekką ranę. Wtedy wystąpiła kwestura; zabiera do więzienia kilku z napastowanych a żadnego z napastników.

Nazajutrz, w piątek rano, gdy kościół napełniał się ludem, przybywającym na kazanie, po większéj części z wykształconéj klassy, na placu del Gesu i w przyległych ulicach gromadziło się pospólstwo w groźnéj i złośliwéj postawie: był to zwykły motłoch, zwoływany i płacony w podobnych razach, niby *przedstawiciele ludu*. Gdyby kwestura, jak to jéj obowiązkiem, była chciała zapobiedz rozruchom, dosyć było rozpędzić tłumy, co się uskutecznić dało bez trudności. Mianowicie wypadało pod koniec kazania to uczynić, aby tłum wychodzący z kościoła nie spotkał się z ciżbą groźną i wyzywającą. Tymczasem i delegowani publicznego bezpieczeństwa, strzelcy, gwardya miejska i narodowa, o nic się nie troszcząc, przypatrywały się bezczynnie napływającym masom ludu, wyraźnie życząc sobie zajścia. Było ono tak dalece przewidziane i chciane, że już od samego rana stały w pogotowiu dwie kompanie piechoty, jedna w koszarach del Gesu, druga w klasztorze Minerwy.

Rzeczywiście po skończoném kazaniu otwarto wielkie drzwi kościoła; zaledwo ukazało się na progu kilku młodzieńców zapewne znanych z przekonań katolickich i z przywiązania do Ojca św., gdy w zewnętrznym tłumie powstaje zgiełk, świstania, wycia, przekleństwa — istne piekło. Zuchwali uderzają na wychodzących, którzy naturalnie zaczęli się bronić, nie żelazem, którego nie mieli, lecz laskami, jakie zazwyczaj się nosi. Wtedy wkracza siła publiczna, rozłącza obie strony i wpędziwszy wychodzących na powrót do kościoła, którego drzwi zamyka, zmusza motłoch do ustąpienia, a oczyściwszy plac przed kościołem, zostawia tłumy przy wejściach do pięciu ulic, które z placu wychodzą.

W ówczas można je było dobrze rozpoznać i prawie zliczyć. Prócz niewielu ciekawych, którzy się trzymali po krańcach, było jakie ośmset a najwięcéj tysiąc, wszyscy z pospólstwa. Po lewéj stronie placu stało oddzielnie 12 lub 15 młodzieży, którzy ruch nadawali wszystkiemu. Może upłynęło pół godziny, gdy kilku usiłowało wydostać się z kościoła i wyszło rzeczywiście. Skoro tylko tłum ich spostrzegł, powitał ich zwykłym hałasem, świstaniem, wyciem, groźbami, a gdy weszli w ulicę, rzucono się na nich kijami. Z tych różnych pojedyńczych bójek zabierano w końcu do więzienia wychodzących z kazania wyszydzonych i zbitych, a zostawiano tych, co napadali.

W kościele tymczasem, gdzie wielki panował popłoch, z powodu zaburzenia ulicznego, odprawiała się msza św., jak to zwyczaj tutaj po kazaniu. Gdy doszła do połowy, otwarto drzwi i może dwudziestu oficerów, strzelców, gwardzistów narodowych, z gołemi pałaszami, wtargnęło do kościoła, płazując mężczyzn, kobiety, dzieci i kapłanów. Jakie było zamięszanie, jaki płacz tłumów pobożnego ludu, łatwiéj to sobie wystawić, aniżeli opisać. Szaleńcy oni przedarli się przez obszerny kościół i zatrzymali się dopiero u stopni wielkiego ołtarza, kiedy kapłan schowawszy co dopiero puszkę z Najśw. Sakramentem, po wydaniu św. Komunii, na tak przerażające świętokradztwo nie mógł się powstrzymać od kilku słów słusznego oburzenia. Wystarczało to delegowanym, aby go natychmiast aresztować. Zaledwo zdołano im wytłomaczyć, że trzeba wprzódy, aby zdjął z siebie liturgiczne szaty w zakrystyi. Wówczas uchwyciwszy go za rękę jeden z królewskich żandarmów, aby go odstawć do kwestury, grozi kajdanami, wołając głośno: chciałbym je włożyć i na Piusa IX.... (dodał przydomek, którego nie śmiem powtorzyć). Takiemi to bohaterskiemi czynami włoskie wojsko omywało hańbę swoję z pod Custowzy a gotowało się do przyszłych zwycięztw nad Francyą.

Haniebne najście bożego domu nie mogło mieć innego pretekstu, jak ten jeden, że w nim znajdują się ludzie uzbrojeni. Ale gdyby i tak było, czyż należało się o tém w taki sposób przekonać? Zresztą, gdy już od 10téj z rana kościół oblegany był przez motłoch roznamiętniony, cóżby tak było w tém nadzwyczajnego, gdyby ktoś dla własnéj obrony i obrony swoich przyniósł ze sobą broń jaką? Jednakże ani jéj szukano w kościele ani naleziono. Władza miała dosyć środków legalnych, aby wszelką obronę uczynić niepotrzebną; należało rozpędzić motłoch z placu i ulic przyległych: na to wystarczało potrojne ostrzeżenie trąbą, gdyby dane było na seryo. Tak jednak nikt na nie niezważał, ani na sławny atak bagnetami, których końce ulicznikі chwytali rękami i śmiejąc się na bok usuwały. Na placu było to komedya, tam żartowano z motłochem, podczas gdy w kościele napadano na seryo i na ostre pałasze. To tłómaczy, dla czego w kościele aresztowano najszanowniejsze osoby, wiernych i kapłanów i zaprowadzono do więzienia, a z ulicznych przywódzców nie zabrano nikogo.

Pomijamy inne szczegóły gorszącego dramatu; przeszło dwóch godzin upłynęło, zanim modlące się zgromadzenie zdołało dostać się do domów swoich wychodząc różnemi bocznemi drzwiami, a nie wszyscy mogli uchronić się od zniewagi. Motłoch pozostał na placu aż do wieczora; wtedy w innych punktach miasta powtórzyły się hałaśliwe zajścia. Było zamiarem

*) Powyższy artykuł tłomaczony z manuskryptu przed wydrukowaniem, jednego z pierwszorzędnych publicystów włoskich, przez korespondenta naszego (†), podnosi ważność wypadków zaszłych w Rzymie a jasno i bardzo sumiennie je streszcza. Red. *Tyg. kat.*

menerów powtórzyć ranne wypadki z pod kościoła Gesu wieczorem przed św. Andrzejem della Fratte. Przełożony jednak kościoła, gdy zapytawszy się władzy, czy zaręcza za bezpieczeństwo wiernych podczas wieczornego kazania, nie odebrał zadowalniającéj odpowiedzi, osądził za roztropne, zaniechać zupełnie kazania, to samo uczynił w następną niedzielę, rano i wieczorem.

Gdy katolicy całego świata dowiedzą się o tych wypadkach, zrozumieją, jakie jest obecne położenie Rzymu i w jakich rękach się znajduje Najwyższy Pasterz kościoła. Ocenią wartość opieki pijemonckiego rządu i kłamliwych jego i śmiesznych gwarancyi.

Drezdeński Magister Elegantiarum.

Przegląd polski twierdzi, że p. Kraszewski w polityce nic nie przedstawia. Na jedno to wyjdzie, jeśli my z naszéj strony powiemy, iż drezdeński polityk wszystko przedstawia po kolei, i porządek i anarchię, i konserwatyzm i demagogią, i rzekome braterstwo i ów terroryzm, któremu dziś dał wyraz w haśle: „Tylko nie oszczędzajcie nikogo.“ Ma on, jak o kimś innym powiedziano, na obstalunek zdanie o wszystkiém, ale przekonań żadnych. My też go nigdy na seryo nie braliśmy. Jeśliśmy tyle w ostatnich czasach o nim mówili, to jedynie dla tego, że go wzięto u nas za chorągiew przeciw Kościołowi, a w szczególności przeciw rządom naszego Arcypasterza. Zdarza się często, że nader podrzędna osobistość, jeśli chwilowym namiętnościom i nienawiściom schlebia, staje się naczelnikiem politycznym. Najświeższym przykładem tego Rochefort. Ten przynajmniéj, za pomocą wzburzonych w najniższym tłumie namiętności, dochrapał się godności poselskiéj. Naszego Rocheforta odsunięto. Odtąd więc, jak tylko można najmniéj, zajmować się nim będziemy. Dla wiadomości jednak naszych czytelników nie przestaniemy od czasu do czasu wypisywać tych obelg, fałszów i oszczerstw, których się ten tchnący pokojem, miłością i prawdą kronikarz, w każdym numerze swego *Tygodnia* dopuszcza.

Jakżeż szybko naprzykład wzbogaca on swój słownik *elegantiarum.* Dopiero co nazwał nasz *Tygodnik* opryszkiem, p. Morawskiego adjutantem X. Arcybiskupa, *Przegląd lwowski* żaczkiem, a teraz znowu (nr. 10.) zowie naszego Arcypasterza „znarowionym dyplomatą.“

A oto sumienne i beznamiętne przedstawienie faktów. „Spisek ultramontański (mówi kronika w nr. 11.), który się posługiwał terroryzmem, fałszywemi podpisami, denuncyacyą, który frymarczył religią, padł na głowę pobity, a wybory były manifestacyą oburzenia przeciwko zamachowi zbrodniczemu. Skutek ich tak był pomyślnym, iż nigdzie kandydat przeciw komitetowi stawiony, nie utrzymał się. Ledwie po kilka głosów padło na odstępców narodowéj solidarności. W sprawie téj agitacyi wyborczéj były zaprawdę fakta tak sromotne, że gdyby ich, uchowaj Boże, stronnictwo liberalne się dopuściło, postawionoby je pod pręgierzem. Pobożnéj klice wszystko wolno, nawet *fałszować podpisy.* Nie jest to przynajmniéj *radykalizm,* tylko starodawna *jezuicka tradycya.*“

Przytem dodaje, że X. Arcybiskup wypowiedział otwarcie, „iż bronienie narodowości uważa jako *radykalizm wrogi Kościołowi.*“ Naprożno zapytywalibyśmy się, gdzie i kiedy? P. Kraszewski nigdy nie odpowiada, nigdy niczego nie prostuje, licząc na to, że ciągłém powtarzaniem wyświęci fałsz w prawdę. Czegoż już on naprzykład Galicyi nie zarzucił? Nawet cierpliwy *Czas* w tych dniach się oburzył na jego twierdzenie, że w Krakowie miano podpisywać petycyą do rządu o zaprowadzenie stanu oblężenia. Jeszcze cierpliwszy X. Goljan dotąd pogardą milczenia odpowiada na przypisywane mu przez p. Kraszewskiego zdanie, że Polski już nigdy nie będzie. I tych wszystkich oskarżeń dopuszcza się człowiek, który wypierania się swego rzymskiego korespondenta, iż nie jest p. Kulczyckim, stwierdza własnym podpisem! Po tym jednym fakcie, jak już nieraz wspominaliśmy, będzie sądzić przyszłość o prawdomowności p. Kraszewskiego.

Pan Kraszewski utrzymuje że oświadczenie naszego duchowieństwa było naprzód i oddawna umówionem jako objaw powszechnéj katolickiéj krucyaty przeciw zasadom 1789 r. Posuwa się nawet do twierdzenia, że cztery punkta kościańskie zostały ułożone w Wersalu między X. Arcybiskupem a hr. Bismarkiem. Tu już same daty wystarczą na odparcie téj niedorzeczności. X. Arcybiskup stanął w Wersalu 4. listopada, ale dopiero w niedzielę z hr. Bismarkiem konferował. Pan Morawski wniósł znane cztery zastrzeżenia na zebraniu przedwyborczem w Kościanie 7. tegoż miesiąca. Porozumienie musiało chyba telegrafem nastąpić między Wersalem a Kościanem, a gdy się zważy, że się dostojnik nasz, według pism radykalnych, układał nie tylko o przywrócenie władzy doczesnéj, ale względem Alzacyi i Lotaryngii, względem obietnicy *papiezkiéj,* że Papież nakaże duchowieństwu francuzkiemu, aby skłoniło do pokornego poddania się Prusom, względem przeniesienia stolicy apostolskiéj do Niemiec, względem nuncyatury w Berlinie i t. d., to trudno przypuścić, aby owe cztery zastrzeżenia miały być postanowionemi zaraz w pierwszym dniu układów. Ale mówiąc seryo, przypomniemy, że X. Arcybiskup dopiero po swoim powrocie z Francyi dowiedział się o owych punktach kościańskich, jak to list jego z 21. listopada do p. Morawskiego okazuje. Ztąd, że katolicy innych krajów te same stawiają zastrzeżenia, radykaliści nasi wnoszą, że wszędzie jednakowa norma postępowania nakazaną *urbi et orbi* została. Ta jednakość w obronie dowodzi owszem jedności spisku radykalnego w całym świecie przeciw kościołowi. Sam wróg wskazuje swoją napaścią, gdzie się najmocniéj oszańcować należy. Dziś głównie uderza on na władzę doczesną. To stanowisko też najsilniéj obwarowują katolicy. Przyjdzie czas na inne oprócz tych czterech twierdz wysuniętych, gdyż łudzić się nie można: radykaliści tylko dla pozoru wywieszają chorągiew 1789 r. w gruncie idzie im o przeprowadzenie zasad 1793 roku.

Ecce iterum Crispinus.

Od dwóch miesięcy nie bywało w *Tygodniu* listów p. Kulczyckiego. Z marcem powróciła ich kocia muzyka. Oto niektóre ich zgrzyty:

„Otóż i dla nas wszystkich prawych Polaków nadszedł czas, byśmy się silniéj i spoiściéj stawili wobec kliki antynarodowéj, zaprzedanéj zaborcom w imię upadłéj już doczesnéj władzy Stolicy św., któréj ci wyrodni synowie nie ocalą niestety! i nie wskrzeszą intrygami swojemi, lecz tylko nad własną matką i nad własnemi braćmi bezowocnie znęcać się będą, jak szaleńcy szukający odwetu na rodzinie swojéj i we własnéj zagrodzie, za śmiertelny zawód, gdzieś daleko doznany. Ach! bo też dla tych panów Rzym był najdroższem polem popisów, skarbcem ich ambicyi, źródłem ich kłamanego uroku, Eldoradem ich butnéj wierności, obiecaną ziemią ich znikczemnienia.“

„Rzym na świat cały począł rozsyłać prałatów kroju X. Ledóchowskiego, czego jak świat światem nie bywało w dawnym kościele w dawnéj stolicy św. — Jezuityzm jak straszna masa ogarnąwszy kościół św. Piotra i Watykan czarnym swoim płaszczem, i oskrzydliwszy je swoim okolistym kapeluszem, przeprowadził watykański Sobór, usiadł jak straszna zonora na piersiach powszechnego kościoła i pod zasłoną doczesnego absolutyzmu doprowadził rzeczy do tego stopnia, że Bóg wszechmogący dla zapobieżenia okropniejszym jeszcze klęskom i dla uratowania swéj oblubienicy, dozwolił działom włoskim zrobić wyłom w murach Rzymu. Interwencya Boska jest tu tak widoczną, tak dotykalną, że każdy człek niezaślepiony fanatyzmem nie może zaprzeczyć, iż *digitus Dei est hic*“

„Następca Piusa IX., zwołując nowy Sobór, który się stał koniecznym po watykańskim, pogodzi kościół z wolnością i jednością Włoch. Od Piusa IX. już się nic spodziewać nie można, bo przestał całkiem do siebie należeć, i mimo pozornéj niepodległości, jest już tylko prostem narzędziem w ręku Jezuitów, kierujących samowładnie osiemdziesięcioletnim starcem, który przytém nie odznaczał się nigdy jenjalnością w czasach kiedy kościół potrzebowałby Hildebranda.“

„Obecnie zaś Jezuici, zagrożeni zniesieniem w całych Włoszech, chcą koniecznie wywieść Papieża, aby się z nim nie rozstawać... Na tedy rozpocznie się nowe aweniońskie przeprowadzenie, nowa babilońska niewola dla Stolicy apostolskiéj, aż dopóki *prawdziwy* Namiestnik Ukrzyżowanego nierozstrzygnie stanowczo wielkiego sporu najpotężniejszym orężem — miłością.“

A zatém Pius IX. nie jest *prawdziwym* namiestnikiem Chrystusowym, a Sobór watykański nie był prawowitym, i nowy Sobór po śmierci dzisiejszego Papieża ma znieść wszystkie jego postanowienia. Usłużni przyjaciele p. Kraszewskiego głoszą jako dowód jego prawowierności, że się poddał dogmatowi nieomylności. Gdzie i kiedy? My nigdy ani słówka nie czytaliśmy, któreby wróżyło o jego uległości w téj mierze. Owszém, widzimy wciąż, jak pomiata powagą ostatniego Soboru i Ojca św. Prąd radykalnego sprzysiężenia na Kościół katolicki, który tak gwałtownie miota się w Rzymie, chyłkiem sączy się przez korespondencye p. Kulczyckiego do *Tygodnia*, a ztamtąd miał się przedrzeć aż do nas. Ale oświadczenie i śmiała postawa duchowieństwa stanęła mu na przeszkodzie. Inde irae!

Przegląd dzienników polskich.

III.

Od ostatniego naszego przeglądu przez cały czas sprawa wyborów do sejmu Rzeszy, przeważnie zajmowała dwa pisma polityczne u nas: *Dziennik poznański* i *Gazetę toruńską*. O *Dzienniku* moglibyśmy tą razą nie wspominać; wszystkie wystąpienia jego ocenialiśmy dostatecznie w numerach *Tygodnika* naszego. Czytelnicy wiedzą jakie jest zdanie nasze o *Dzienniku*, który z dniem każdym coraz zuchwalszą postać przybiera, coraz wyraźniéj nienawiść swą ku Kościołowi, rzeczom i osobom kościelnym objawia, który w mnóztwie artykułów o tak zwanych ultramontanach, i zawziętości swojéj złożył dowody, i o swym radykalnym kierunku, wyraźnie w związku z powszechnym europejskim radykalizmem zostającym, powinienby był i najdobroduszniejszych przekonać. Przypominamy jeszcze tylko, jak *Dziennik* zohydzał osoby duchowne, które społeczeństwo nasze przywykło szanować; jak się naigrawał z nieszczęścia Ojca świętego, jak nie żałował przekręcań, złośliwości i potwarzy, by choć chwilowe w oczach niedojrzałych ludzi odnieść korzyści. *Dziennik* w pierwszéj chwili wybuchnął z nieposkromnioną gwałtownością, i to pierwsze namiętne wystąpienie odsłoniło od razu wnętrze jego, i poznaliśmy w nim już nie chwiejnego, niepewnego przeciwnika, lecz zdecydowanego na wszystko radykalistę. Niesłychane u nas zjawisko! W kraju na wskroś katolickim, w szczerze przywiązanym do Kościoła, do Ojca św. i do duchownych przewodników, śmieją jawnie zasady i uczucia katolickie prześladować, śmieją krucyatę głosić przeciw katolikom! Za czasów prześladowań rzymskich motłoch rozbestwiony, dotknięty klęskami powodzi, głodu lub trzęsienia ziemi, w Chrześcianach widział sprawców nieszczęść swoich; chciwy krwi, rzucał męczenników na pastwę kłom zwierząt dzikich: — kosmopolityczny radykalizm przez cały ciąg dziejów, zemstę swą również na wiernych Chrystusowych wywierał; wciąż ten sam w gruncie rzeczy okrzyk, choć innemi słowy niekiedy: „*christianos ad bestias*.“ Dziś posądzają katolików o zdradę kraju, za to, iż ich serca oddychają miłością ku Stolicy Apostolskiéj; nie sromają się oskarżać o cele osobne za to, iż chcą, by prace narodowe były uświęcane i sił nadprzyrodzonych przez ścisły sojusz z Kościołem Chrystusowym nabierały. *Dziennik* katolikom u nas kosmopolityzm zarzuca dla tego, iż wspólnie z katolikami całego świata domagają się obrony Stolicy Apostolskiéj i zasady katolickie zatwierdzają. Ale jakiż to zarzut? Zasady katolickie są wszędzie te same, jednakowe, powszechne ze swéj natury i nazwy. Z drugiéj strony *Dziennik* sam należy do obozu kosmopolitycznego radykalizmu, który od południa do północy, i od wschodu do zachodu, jednozgodnie działa, jednomyślnie tym co głoszą wierność swą katolickim zasadom, zarzut niepatryotyzmu ciska w oczy. Posądzaniem o brak miłości ojczyzny, lub zgoła wprost zarzutem robót szkodliwych narodowi, chcą przygnieść i zabić w opinii. Manewr ten się udaje, ale zły to znak, kiedy odmienne drogi do tegoż celu ziemskiego na chłostę publiczną są wystawione, a odstępstwo od zasad katolickich nie tylko nie nosi na sobie piętna ohydy, lecz owszem za postęp i rzecz chwalebną uchodzi.

Radykalizm dzisiaj wojuje przeciw Kościołowi pod wywieszonym sztandarem miłości ojczyzny; ale ta miłość nie jest rzetelną miłością z Boga idącą, jest miłością starych Spartanów i Rzymian, która pochłaniała dla idei państwa religią, sumienie i wolność każdego obywatela. Patryotyzm bez namaszczenia religijnego jest, jakżeśmy to już wykazali, pogaństwem, jest bałwochwalstwem, i owoców trwałych przynieść nie może.

Łudzi się każdy, kto nie widzi, że w chwili obecnéj walka się toczy między massoneryą a chrześciaństwem na polu politycznym i społecznym. Kto patryotyzm pojmuje niezawiśle od chrześciaństwa, ten nadaje przewagę ciału nad duchem, ten daléj logiczném następstwem, wiedzę nad wiarę przenosi, ten należy do sekty politycznéj, która po prostu chce Boga i Chrystusa ze stósunków społecznych wyrzucić. *Dziennik* żywi się wyłącznie pismami massońskiemi (czyż kiedykolwiek czerpie on z dzienników katolickich?), i dla tego sposób jego myślenia, zdania jego wygłaszane, jego nawoływania, są wyraźnie massońskie, a czyż massonerya nas zbawić może, ta sekta najzawziętsza przeciwniczka Chrystusa? Dla tego to my nie przestajemy wołać, że z takiego posiewu smoczego zatrute tylko mogą się zrodzić owoce. Nie mówiemy, że u nas są loże massońskie, gdzieby ten lub ów z tak zwanych kierowników opinii „miłosne braterskie biesiady“ wyprawiał, gdzieby pito toasty na zagładę matki Kościoła, ale to twierdzimy, że wszystkie swe natchnienia, rozumowania swoje, wreszcie wszystką swą nienawiść, u nas *Dziennik poznański*, we Lwowie *Gazeta narodowa* i *Dziennik polski*, w Krakowie *Kraj*, z prasy zostającéj na żołdzie powszechnéj rewolucyi, tj. massoneryi, czerpią.

Dziennik w nr. 63. zarzuca katolikom, że nie mają sprawy narodowéj na pieczy, dowodem tego jest gołe twierdzenie jego: „to więcéj jak pewno;“ o sobie zaś zaręcza, „iż narodowość jest dlań jedynym celem,“ i to ma wystarczyć. Więc kiedy *Dziennik* o sobie coś twierdzi, tedy to jest dogmatem niewzruszonym; zaś zapewnienia ze strony katolickiéj w téj saméj rzeczy są po prostu fałszem. Gdzież tu logika?

W pierwszych chwilach burzy wyborczéj, *Dziennik* bezwzględnie odsądzał katolików od wspólności narodowéj, o zdradę jawną oskarżał; złagodniał następnie i już nie zdradę sprawy narodowéj, lecz podporządkowanie jéj, stawianie na drugim miejscu zarzucał. Wielka to łaska! Otóż my musimy zatwierdzić, że tak jest rzeczywiście, i znowu przytaczamy słowa księcia Adama Czartoryskiego, że miłość Boga nie ma być z patryotyzmu, jeno patryotyzm z miłości Boga. *Dziennik* zaręczając, „że dlań sprawa narodowa nadewszystko jest ważną,“ popełnia bądź co bądź bałwochwalstwo, a jeżeli tego nie czuje, zmysłu chrześciańskiego nie posiada.

Jeszcze jedno. Doczekaliśmy się tego, iż nam zarzucono miłość do Stolicy Apostolskiéj. Niechaj ta jedna okoliczność rozsądzi między przywiązaniem serc rzeczywiście katolickich, a między obojętnością, jeżeli już nie między stanowczą nienawiścią liberałów naszych do Głowy Kościoła. *Dziennik* pyta się w tymże numerze: „Czy może kto zgodzić się, aby Kościół zapanował nad wszystkiemi sprawami, i stósunkami naszymi?“ Nie tylko może się każdy zgodzić, ale powinien koniecznie, iżby Chrystus rządził i kierował sumieniami naszymi we wszelkich sprawach, czy to prywatnych, czy publicznych. *Dziennik* pozwala Kościołowi łaskawie zająć w narodzie stanowisko poważne. Owóż jeżeli to stanowisko nie będzie górujące, Kościół będzie postawiony na równéj linii z handlem, przemysłem, rólnictwem itd. jak tego chce p. Dr. Libelt, jak tego chce w gruncie rzeczy *Dziennik*, jak tego chce na razie w ostrożności swéj nowoczesny liberalizm, ażeby następnie spychać ten Kościoł coraz niżéj a niżéj, a ostatecznie całkiem go wyrzucić z życia publicznego.

W nr. ostatnich *Dziennika* w listach z „Ustronia“ odzywa się głos, pod pokrywką erudycyi i znajomości historyi, stanowczo negujący Kościół jako instytucyą bożą. Kościół w oczach tego pisarza jest niczym innym jeno zbiorowiskiem intrygantów samolubnych i podłych narzędzi. Komuby teraz nie miało się rozwidnić, ktoby jeszcze to za niewinne, nieoględne wyrażenia chciał uważać? Pisarz z apodyktyczną pewnością najohydniejsze miota twierdzenia, a ani źródeł nie podaje, ani argumentów nie przynosi. W każdym razie czytał *Janusa*. Odpowiedzi oczywiście nastąpią, lecz iluż je czytać będzie? *Et nunc erudimini.*

Powiedzmy teraz kilka słów o Odcinku pisma poznańskiego. We feletonie *Dziennika* pojawiło się kilka Kronik poznańskich, które na zawsze pozostaną czarną plamą dla

niego. Kronikarz nie folgował bynajmniéj swojéj zaciętości, niewątpliwie ćwiczył się na kronikach dzienników lwowskich lub żydowskich w Wiedniu, bo równą co i one pałał nienawiścią ku katolikom i na osoby się rzucał. Kroniki te zapewne się już nie pojawią. Daléj w *Dzienniku* po długiéj przerwie ciągną się Zagadki Bolesławity. Autor bohaterów swoich przewozi z miasta do miasta, coraz więcéj figur wprowadza, nie mogąc jakoś wybrnąć z błędnego koła, choć łatwo przewidzieć jaki będzie koniec.

Te długie korowody służą na to, by mieć sposobność do wygłoszenia najdziwaczniejszych teoryi, do wyjawienia swych niechęci i gniewu. Wszędzie czuć obrażoną miłość własną.

Gazet. Toruń. w sprawie Owiadczenia duchownych, była i jest przeciwniczką naszą, wszelako z nią dyskusyja jest możliwa. Odpowiadaliśmy jéj i jeszcze odpowiadać będziemy. Dwie rzeczy mamy tu do nadmienienia *Gaz. tor.*: — czepianie się słówek wprowadza ją w sferę subtelności nie mających praktycznego znaczenia (trzeba brać rzeczy po prostu i w dobrym duchu); powtóre, *Gazeta* chce tak samo jak *Dziennik* (Nr. 63 i 65.) usunąć Kościół od wpływu na prace publiczne, a tak nad poziom stanowiska pogańskiego naturalizmy nie wznosi się. *Gazeta Tor.* czyta nasze artykuły, czyta je uważnie, co chętnie uznajemy; tu i owdzie sili się wynaleść sprzeczności, ale nie na gruncie istotnego rozumienia wywodów naszych, jeno luźnie pochwytanych, niekiedy mniéj ścisłych wyrazów. *Gazecie Toruńskiéj* rozjaśniłaby się od razu cała sprawa, gdyby nietknięty dotychczas przez nią artykuł ks. Dr. Wartenberga pod napisem: „Dokąd idą narodowcy?“ — artykuł z matematyczną dokładnością wykładający pojęcia narodowości chrześciańskiéj a następnie wskazujący również ściśle zagładę narodowości, skoro by jéj ducha t. j. religiją zabito, ze zastanowieniem zechciała rozebrać. Zasadniczą kwestyją jest to dzisiaj: czy przepisy wiary chrześciańskiéj, t. j. Kościoła katolickiego, mają być normą postępowania nie tylko dla sumień indywidualnych, ale i we wszystkich robotach publicznych, czy też mają się one ograniczać wyłącznie na sferę ściśle kościelną, a społeczeństwo jako takie rządzić się powinno własnym rozumieniem rzeczy i własnemi swojemi popędami. My ustawicznie powtarzamy, i mianowicie w ostatnich czasach w artykułach wymierzonych przeciw rozumowaniom p. Libelta, dobitnie stanowisko Kościoła w obec narodu oznaczyliśmy. Nie potrzebujemy na nowo tego zatwierdzać. Przeciwnicy nasi niechaj się z owemi poglądami i wywodami naszemi rozprawią.

Przy téj sposobności wspomnimy zaraz o trzecim przeciwniku Oświadczenia duchownych. Jest nim **Przyjaciel ludu** chełmiński. Pismo to naganiło agitacyją niewczesną tych, co p. Kraszewskiego w brew przeświadczeniu swojemu o niewczesności téj kandydatury u nas, i wbrew dotychczasowemu regulaminowi, koniecznie do krzesła poselskiego przedstawiali. To dobrze, ale **Przyjaciel** zaczął następnie nieznacznie przechylać się na stronę krzykliwéj partyi, aż w końcu wyraźnie zarzewie niezgody rzucił i nienawiść ku duchowieństwu między ludem rozniecał. **Przyjaciel** dopuścił się tu wielkiéj winy, i duchowieństwo powinnoby ściśle na to pismo dawać baczenie. Jeszcze tego potrzeba, by lud buntowano, by w korespondencyach czy rzeczywistych czy ukutych na miejscu, dozwalano ludziom, nie rozumiejącym istotnego położenia rzeczy, oświadczać się za tymi, co jedynie polskość swą głoszą, a zasad katolickich nie przyjmują. Lud nasz ma wiarę i nigdy na wykluczenie przekonań i uczuć religijnych w jakich bądź sprawach nie zezwoli, a jeżeli życzy sobie na sejmie polskich posłów, to niezawodnie jeszcze silniéj się domaga, by ci polscy posłowie gwałtu ich sumieniom i uczuciom katolickim nie zadawali. **Przyjaciel** bałamuci lud, kiedy w takich rzeczach głos zabierając, nic innego jéno elukrubacye *Dziennika poznańsk.* na język ludowy przekłada.

Pielgrzym w Pogutkach dobre zawsze drukuje rzeczy. Polecamy go usilnie, tém bardziéj dziś, kiedy **Przyjaciel** sprzeniewierza się zadaniu pisma dla ludu katolickiego przeznaczonego.

Wracamy do Poznania:

Sobótka zawsze ta sama: p. Kraszewski w swym „Pałacu i folwarku“ co chwila lichą francuzczyzną się popisuje i co chwila, gdzie się uda, duchowieństwu łatkę przypina. *Antiquo more!* Nas to ani nie oburza ani nie dziwi. Ale byłby już czas, żeby p. Kraszewski zastanowił się, ile to grzechów zgorszenia słowem i piórem się dopuszcza. Przecież z każdego słowa niepotrzebnego trzeba będzie zdać rachunek.

Inne przestępstwa **Sobótki** wytykaliśmy już doraźnie: dodajemy że w num. 11. jest wiersz p. L. Merzbacha, bawiącego w Hiszpanii, wiersz, w którym autor wygłasza, że nad Senekę, Averroesa, Gonsalesa i nad wszystką chwałę Hiszpanii przenosi fontanny i huryski. Ładna *licentia poetica!* Bałwochwalstwo ciała, negacyja straszna ducha — nic więcéj.

Byli tacy, co nam za złe mieli, iż z pierwych zaraz num. **Tygodnika Wielkopolskiego** nic pomyślnego dla chrześciańskich pojęć nie wróżyliśmy. Prorokami nie jesteśmy; dość przecież było przeczytać spis osób wchodzących w skład pracowników tego pisma, dość zobaczyć na czele artykuł p. Libelta, by wyrzeczenie nasze zrozumieć i usprawiedliwić! Czyśmy się omylili w przypuszczeniach? Czyż zachowanie się **Tygodnika Wielkopolskiego** nie potwierdza słów naszych? P. Libelt głosi wyraźnie materyalizm Vogta, jak to rozprawa Stefana Pawlickiego. zamieszczona w dzisiejszym numerze pisma naszego, niewątpliwie wykazuje; p. Ochorowicz, nowy psycholog a fałszerz miejsc z pisarzy kościelnych policzkuje kościół, i strażników nauki katolickiéj szarlatanami nazywa; w „Sympatyach i antypatyach“ ktoś z Wągrówca chce Polski choćby z alkoranem proroka z Meki, w prelekcyi heidelbergskiego Dr. o „Wolności politycznéj“ jakież niegodne wycieczki przeciw papieztwu i kościołowi czytamy! Aż nazbyt rychło pismo to uwolniło nas samo z zarzutu niewczesnych i nieuzasadnionych niechęci. O **Tygodniku Wielkopolskiem**, a raczéj o Kronice jego w num. 11. i o wierszu pana Wł. Ordona pod tyt. Na rozdrożu, mamy jeszcze dwa słowa do pomówienia. Raz po raz pojawia się tak zwana „Kronika Tygodniowa“ z podpisem *W.* O téj Kronice mówiliśmy już; popisuje się w niéj pisarz dowcipami swojemi, frazesami z bardzo pośledních francuzkich autorów, rozprawia o wielu rzeczach, a w gruncie o niczem, zaś o swéj własnéj osobistości niezapomina nigdy. Uosobione to *ja* wszędzie; na początku, w środku i na końcu — alfa i omega — Ależ młodzieńczość ma swoje przywileje: — zarozumiałości ogromnéj; przymiot ten, jak wiadomo w odwrotnym zupełnie zostaje stosunku do nabytych wiadomości i nauki. To wiem, że nic niewiem, mawiał mędrzec grecki; poprze trącane nasze wielkości literackie prawią: wiem wszystko i nie ma nic coby mi nie było niedostępne. Kronikarz w numerze 11tym **Tygodnika Wielkopolskiego** przywdział przyłbicę przeciw pismu naszemu i wyruszył na bój. Rycerz to wprawdzie nie pozorny, ale rycerz zaciężny radykalismu bezwiernego i to mu siły przysparza. Podnosi i on z ulicy kamień i na ultramontanów go ciska! Czułby się do grzechu, gdyby nie dopełnił tego obowiązku.

Karykatura na ultramontanów w oknach kilku naszych polskich księgarzy wystawiona i nęcąca przechodzącą publikę — jego w rozkoszny zachwyt wprawia. To arcydzieło, powiada! Poeta rozumie poetę — malarza! Ci co za ultramontanami stoją — to „nie chrześciańskie twarze.“ Ultramontanie gotowi „bratobójczy krok“ uczynić — woła przerażony Kronikarz — może ja ich powstrzymam — może uśmiercę, a tak oddam usługę Bogu i ojczyznie. Czyż to nie śmiertelne razy, gdy pisze:

Uczmy się od naszych przeciwników jędrności stylu. Chcąc nabrać wyobrażenia o dosadności polemiki ultramontanów, dość przeczytać w ostatnich numerach *Tygodnika katolickiego* jadowite wycieczki na ludzi, którzy się zajęli sprawą teatru, na *Dziennik poznański*, *Tydzień* i t. d. Żaden może z czytelników, piastujących w duszy wspólne nam relikwie wiary, przed oczyma mając promienne łagodnością chrześciańską oblicze sędziwego proboszcza swéj parafii, nie uwierzy, ażeby te piana parskające apostrofy wyjść miały z pod piór kapłańskich... A przecież (horresco referens) paszkwile te — to płody młodzieńczéj gromadki naszego kleru, mającéj wolne popisu pole w łamach *Tygodnika katolickiego.* Echa przedrzeźniły się szyderczo temu nazwisku! Mamyż mieć jeszcze styl grzeczny?! Idźmy za szermierzami kościelnego pisma, zbierać materyały do trucizny, którą napawa swoje pióro. Zawiedzie nas pewnie na szczyt

Brokenu dramatyczny, — a choćby na prozaiczną Łysą górę, i podzieli się z nami dekoktem, który mu północne wiedźmy z zębów smoczych, języków jaszczurczych, i ziół trujących preparują! Precz z grzecznością! „Le meilleur moyen de n'être estimé de personne c'est de vouloir plaire à tous" mówi la Rochefoucault — niech nam to posłuży za dewizę. Takieto organy wyrosły w ciemności naszego lenistwa i watowanéj moderacyi.

Dzielne natarcie! Kronikarz wpędził nas aż na Łysą górę; przynajmniéj to dobre, że tam przypatrzył się naszym „dekoktom i orgiom, i truciźnie i parskającéj pianie." Precz z grzecznością — woła kawaler zaciężny. To trochę nieładnie, — spodziewaliśmy się litości i wspaniałego ducha. Ale nie — „precz z grzecznością!" Dla nas wszelako jest jeszcze jedna pociecha: Kronikarz zaręcza, że nikt nie uwierzy, że te pianą parskające apostrofy *(szkoda, że ich nie przytoczył!)* wyjść miały z pod piór kapłańskich." Zaiste, nikt nie uwierzy, bo ani apostrof, ani piany nikt nie widział — ale uwierzy niezawodnie każdy, że to cośmy przytoczyli, jest dekoktem z zębów smoczych i jaszczurczych języków.

Ale dość o tym; — poetę-kronikarza spotykamy jeszcze na innem miejscu w *Tygodniku wielkopolskim*. Widzimy go: siedzi Na rozdrożu, jak Herkules rozważając, którą pójść drogą: czy drogą poczciwości, czy też drogą marnéj rozkoszy. Poeta był na Łyséj górze — zstępuje z niéj co prędzéj, przerażony widokiem straszliwym: ultramontanie szabasy wyprawiają! Poeta, Wł. Ordon (bo tak się podpisuje) rozbolały, zrozpaczony — staje na rozstajnych drogach, i z „mętnéj duszy" pieśń nieznanéj siły i wdzięku nadobnego wydobywa. Szczęśliwy nabytek! Przeciwnicy ultramontanów mają swego poetę Tyrteusza. Tyrteusz trącając w struny bardonu — szyki ich zapala męztwem niepohamowanym — zwycięztwo niewątpliwe. Słyszymy już okrzyki tryumfalne: cześć ci Tyrteuszu — rozbiliśmy czarne zastępy!... Naczelny wódz w stolicy Saskiéj będzie ci wdzięczny — idź mu się pokłonić — a wielkość twoja zapewniona. — Ale zbliżmy się do poety: tam na rozdrożu samotny siedzi — wiedźmy, upiory ultramontańskie okrążają go — czym się opędzi? Zobaczymy. Śpiew się zaczyna, słuchajmy:

Stanałem z duszą mętną na rozstajnéj drodze!
Oto lat już nie mało ścieżką życia chodzę —
Pielgrzym cichy, a idąc przez ból i radości,
Wiernie niosłem zaszyte w pamiątek szkaplerzu,
Zaczerpnięte w piosence niańki i pacierzu —
Dwie, Ojczyzny i Wiary, najświętsze miłości.

Dowiadujemy się nasamprzód kilka szczegółów z życia poety. Szczęśliwa młodość wśród baśni nianiek i szeptów pacierza! Ale duch gna go na świat szeroki — staje się pielgrzymem. Jako pielgrzym — jako wieczny żyd tułacz błąka się po świata manowcach. Wszakże „od lat niemało ścieżką życia chodzi" — pielgrzym cichy, on to wie do siebie. Pielgrzym nosi szkaplerz na piersiach — a w tym szkaplerzu zaszył dwie miłości najświętsze: wiary i Ojczyzny. Szkoda, że je zaszył, bo po co takie rzeczy zaszywać? Ależ zaszył — nawet i pacierz, bo katechismu się już nie uczył — a gdy pacierz zaszył w „szkaplerzu pamiątek," już i pacierza nie mówił: pacierz zaszyty w szkaplerzu. Pielgrzym podstarzał się znacznie, stał się cichym, ale pacierza nie mawiał.

Śpiew płynie daléj:

Na nich we dnie pokusy kładłem skroń zemdloną,
Niemi w suszę życiową odświeżałem łono,
Niemi, kiedy widziałem, jak téj ziemi dzieci
Ciśnie noga tyranów ciężka i obrzydła,
Uzbrajałem modlitwą, jak w dwa orle skrzydła,
Posyłając do nieba; pewny, że doleci!

Wygodny to szkaplerz, co służył i za wezgłowie w potrzebie! W dnie pokusy i w suszy życia, chrześcianin idzie do spowiedzi — w téj krynicy łask bożych odświeża swe łono, goi bóle, i pokoju szuka. Pielgrzym nasz cichy — kładzie się na „szkaplerzu pamiątek" — aby zasnąć smacznie. Co z tego wezgłowia miało być więcéj? Nie dziw, że dusza jego smętna. Nawiasem prosimy poetę, by i gramatyki nie zaszywał w „szkaplerzu pamiątek" i powiedział, kogo to niemi uzbrajał.

Następne wiersze są nabrzękłe przesadą n. p.:

Nieprożno swe sztandary z Maryą Częstochowską
W hymnie Bogarodzicy do walki kąpali,
. . . .
W krzyż i miecz Jerychońską potęgą zadźwięczy,
I zaleje czerń wrogów potopem — bez tęczy!

Wnet nieodstępne ja się zjawia:

.... Ja to czułem; że ta stałość (?)
Podwójna zwalczy Siły i Schismy zuchwałość;
Że jak drogie balsamy w Egipskiéj mogile
Nakazując niewoli rozkładowéj sile....

Tu brak dopełnienia do słowa: nakazując.

Pielgrzym cichy czuł tak, szedł wciąż — i wciąż woła na dziatwę:

Wciąż wołałem na dziatwę, co błądzi strapiona
Przez dwa wielkie jéj ducha i ciała imiona.

Mamyż powiedzieć, że to albo żarty niewczesne albo gruba zarozumiałość? Myśmy tego wołania ustawicznego na dziatwę błądzącą nie słyszeli nigdy i nigdzie. Kiedyż to i gdzie wołał ten pielgrzym cichy, że go nikt nie słyszał? Znamy tomik Wł. Ordona — ale tam próżno szukać wołania na dziatwę strapioną i błądzącą. Tomik poezyi Wł. Ordona zawiera tłomaczone i oryginalne wiersze, ale wiersze te pełne dzikich namiętności — cynismu, szyderstwa i rozpaczy. Uczuć świetlejszych, niebiańskich, czystych — nigdzie nie spotkać! Pełzanie po ziemi, mimo górnolotnych frazesów, a tam gdzie mu się może zdaje, że bucha płomień świętego zapału, my widzimy żar kipiący, z mętnéj duszy. Lubieżność! oto treść tych wierszy. Głosu pielgrzyma cichego do dziatwy strapionéj tam nie ma! Epoka Heinismu minęła: Heine był cynikiem wielkim, ale niewątpliwie utalentowanym poetą.

Biada narodowi, gdyby miał w swym łonie, jak zaręcza p. Wł. Ordon, takich poetów „legion cały z takiem w ustach hasłem." Byłoby to dowodem, że poezya wszystka poszła w służbę ciała. Ale tak nie jest i tak nie będzie!

Wracamy do śpiewu na rozdrożu. Poeta widzi zastępy ultramontańskie, jak się gotują do pochodu:

Pójdą! Przed nimi bijąc w nietoperze skrzydła
Wzleci córka ciemności — ambicya obrzydła,
Żądza władzy skrwawioną zakole ostrogą,
Dusz rozdarcie bezbożnie będą sieli drogą,
Wrogowi od nich zdobycz przybędzie obfita;
. . . .
Rzymscy Targowiczanie — cofnie się strwożona,
Nie poznając tych dzieci, piersi swych i łona!

Cóż tu słyszymy? Frazesa te same, któremi *Dziennik poznański* rzucał na prawo i na lewo. Ten sam zarzut ciemnoty, ambicyi, żądzy, władzy i zdrady na rzecz wroga. *Dziennik poznański* wraz z swym Kronikarzem powtarzał tego dosytu. Wł. Ordon ubiera to w szatę rymujących się wyrazów — nic więcéj. Ale nie! Jest coś oryginalnego. Poetyczny ten ustęp ma osobną jeszcze zaletę. *Kladderadatsch* berliński, pismo żydowskie, najbezeczniejsze pod słońcem — wiecież co za wiersz wspaniały w num. 12. na czele wydrukował? Ha, czytajcie! Znajdziecie tam zajadłość, okrzyk wściekły przeciw ultramontanom: śmierć, śmierć tym czarnym; — znajdziecie i Łysą górę i smocze języki — i nietoperze skrzydła — ropuchy, ciemności, i ambicyą obrzydłą. Dziwna! Prawie o jednéj porze, myśl tę samę, wyrazy te same, i w żydowskim piśmidle i w polskim dzienniku znajdujemy. Poeta w Poznaniu, a w Berlinie żydowski cynik w téj saméj materyi próbują poetyckiego talentu. Nić tajemnicza łączy dwa duchy.

Kończmy:

Pójdą! Biada po trzykroć tym, co tłumy wiodą
Szafując karą piekieł i nieba nagrodą;
Jak Iskariot: za srebrnik siły i powagi
Wydający swój naród sierocy i nagi
W ręce katów — by na krzyż łatwiéj go rozpięli:
To co w cieniu poczęte, powróci do cieni.
I na tém drzewie władzy, na które się pięli,
Zawisną, ręką rozpaczy własnéj zaduszeni.

Tych kilka przytoczeń starczy niezawodnie, by osądzić

człowieka, by poznać jego ducha, przekonania i tendencyą jego zrozumieć.

Nie przypisujemy zgoła żadnego znaczenia poezyi p. Wł. Ordona. Poeta młody folguje pociągom niesfornéj wyobraźni i snuje wciąż obrazy fantastyczne, pełne namiętności rozszalałych, bo mu się zdaje, że wszędzie naokół taka sama wre burza, jaka w jego własnym sercu huczy. W głębinach serca ludzkiego dyszy poganism, zwierzęcość, to pewna, bo to następstwa grzechu pierworodnego; zadaniem chrześciaństwa pogaństwo wytępiać, ubijać tę zwierzęcość, stąd życie ludzkie słusznie ustawicznym bojem nazwane. Kto téj walki nie podejmuje, kto ulega instynktom zepsutéj natury, ten wraca do stanu, w jakim się w ostatnim swym moralnym rozkładzie starożytne pogaństwo znalazło; i niech się zasłania i uniewinia jak chce: czy duchem czasu, czy prawami młodości, czy wolnością poetycką — zawsze on na gruncie skażonéj natury stoi, ziemi a cielsku służy i chrześciańskim pojęciom urąga.

Dopóki się nie wzniesie w sferę czystszą, dopóki nie zrzuci ze siebie człowieka starego, według słów Pawła św., „chodzącego w nienawiści i złościach i pożądliwościach,“ dopóki wreszcie nie nabędzie lepszéj znajomości zasad języka i zadania szczytnego prawdziwéj poezyi nie zgłębi: mimo „obrzydliwéj ambicyi“ na nazwę poety nie zasłuży sobie. Ten i ów z współczesnych może łechtać miłość własną nieszczerą pochwałą, nawet p. Kraszewski za wiersze takie jak Na rozdrożu, napisane *ad usum Delphini*, nie poskąpi mu polecenia: — potomność o nim zapomni.

Poeta niemiecki powiada, i słowy jego, nie mając pod ręką odpowiednich wyrazów polskiego wieszcza, kończymy:

Was ist die Kunst im Reich des Schönen,
Wenn sie das Höchste nicht erwählt,
Wenn sie in Bildern, Wort und Tönen,
Sich nicht dem Höchsten anvermählt;
Der ganzen Menscheit allzumal
Begeistrungsvoll und laut verkündet:
Sie sei dem Himmel selbst verbündet,
Sie sei der Gottheit eigener Strahl!

Drum von dem Staube dieser Erde
Rafft sich der Dichtergeist empor,
Dass ihm die schön're Krone werde,
Der sich das höh're Ziel erkor;
Der sich den niedern Sinnesträumen
Ein sieggewohnter Held entschlägt,
Und gleich dem Aar auf Wolkensäumen,
Hinauf bis zu den Sternenräumen
Den gottgeweihten Fittig trägt.

W **Czasie** krakowskim znajdujemy częste korespondencye z Poznania, wyświecające w sposób jasny całe położenie wywołane oświadczeniem duchowieństwa, tudzież uwagi nad artykułami ogłoszonemi w téj sprawie przez *Dziennik poznański*. Ludzie nieuprzedzeni pouczyć się mogą z tych korespondencyi dostatecznie. Powieść pod tytułem: *Bogiem a prawdą*, nader zajmująca, wykazuje bezeceństwa massoneryi (autor wyraźnie czerpie z książki O. Bresciani: „Żyd z Werony“), niemniéj obłąkania Towianizmu; z drugiéj strony pojęcia zdrowe, katolickie, znajdują odpowiedni swój wyraz. *Listy z Francyi* w odcinku *Czasu*, malują żywo i zajmująco epizody z co dopiero ukończonéj wojny. Chrześciańskie bohaterstwo zuawów papiezkich, śliczne obrazy z życia na wskroś katolickiéj Bretanii, podnoszą serce i wlewają otuchę o jaśniejszéj przyszłości Francyi. Skoro nam miejsce pozwoli, kilka ustępów z tych listów przytoczemy.

Przegląd polski, lubo zawsze dobrego ducha, w ostatnich czasach zdaje się jakoby zbaczał nieco z prostéj katolickiéj kolei. Nie rozumiał adresu wersalskiego, nie właściwie oceniał oświadczenie duchowieństwa, wreszcie ogłosił artykuł p. Kalickiego, który wyraźnie kilku falszywemi tonami, nie tylko już uczucia ale i zasady katolickie obrażał. Rozprawę tę w fałszywych jéj poglądach, zaczepił, i słusznie, *Przegląd lwowski*; a lubo możnaby nie zgadzać się na sposób wystąpienia, prawda jest po stronie pisma lwowskiego. Skutkiem tego p. J. Szujski ogłosił w zeszycie marcowym obszerną odpowiedź *Przeglądowi lwowskiemu*. Odpowiedź ta spokojna, zawiera dobre rzeczy, wszelako sporu nie tylko nie załatwiła, lecz owszem do dalszych dyskusyi powód dała. Jakoż i *Unia* lwowska w nr. 64. i 65. kilka twierdzeń p. Szujskiego z katolickiego prawdziwie stanowiska odpiera. Że i *Dziennik poznański* tego artykułu *Przeglądu polskiego* tendencyjnie w tych rzeczach, które lekką naganę dla pism katolickich wyrażają, używa, — z odpowiedzi *Unii* wypada nam kilka ustępów przytoczyć:

Znakomity autor, zwracając się do *Przeglądu Lwowskiego* podaje jakby rady i skazówki, odnoszące się do całego dziennikarstwa katolickiego w kraju naszym, do ogólnego charakteru jego i sposobu działania, na które się w żaden sposób, zdaniem mojem, zgodzić ono nie może. P. Szujski powiada: „Do najważniejszych prac między pracami dzisiejszéj chwili liczymy śmiało pracę około wszczepiania a raczéj umacniania zasad katolickich w społeczeństwie. Dla tego, że ją liczymy, winniśmy pracownikom na tem polu całą prawdę....“ Owóż pozwolimy sobie odrzec, iż w uwagach „Odpowiedzi“ nie znajdujemy owéj całéj prawdy, a znajdujemy znów niektóre rzeczy takie, którychbyśmy, mimo całe poszanowanie d'a autora, bezwzględną prawdą nazwać nie mogli.

Pan Szujski przedstawia, nadto, stan społeczności naszéj pod względem religijnym w tak optymistycznem świetle, iż, mimo całą dla téj społeczności miłość, a raczéj w imię właśnie téj miłości, zaprzeczyć temu musimy. Im większą i wytrawniejszą jest miłość, tem trzeźwiéj baczyć każe na stan ukochanéj istoty, — a cóż dopiero gdy tu o ojczyznę, a w niéj o religią chodzi, o religią, co jest ojczyzny téj prawdziwą podstawą bytu, nieśmiertelną duszą? Sąd zbyt optymistyczny w téj mierze, a jako taki, przesadnio i fałszywie uspôkajający, im z poważniejszego wychodzi umysłu, tem mniej korzystnym i bezpiecznym się staje. I oto druga przyczyna a raczéj pobudka odpowiedzi naszéj.

Nakoniec p. Szujski, obok wielu uwag słusznych zkądinąd, ale których zastosowania do naszego katolickiego dziennikarstwa nie zbyt jasno pojmujemy, rzucił parę wyrażeń, że nie powiem myśli, takich, których nie umiemy pogodzić z tą szczerą katolicką zasadą i wiarą, jakąśmy zwykli i radzi widzieć w pismach szanownego autora. W tym ostatnim względzie już nie odpowiedź, lecz kilka raczéj zapytań podać tu winniśmy.

Co do kwestyi pierwszéj, mianowicie co do stanowiska i sposobu działania katolickiego dziennikarstwa w kraju naszym, spieszymy oznaczyć naprzód punkta zgodne, jakby grunt spólny, na którym się z szanownym spotykamy autorem.

Tak naprzód zgadzamy się z nim całkowicie w tém, iż nie należałoby przyznawać zbytecznéj wagi pewnym elukubracyom, w ogóle nawet opiniom dzienników, biorąc je bezwzględnie za opinię publiczności, a prenumeratorów za wyznawców ich zasad. Słusznie uważa p. Szujski, iż pisma te „nie rachują się z potrzebami kraju, że pojmują swoje stanowisko, jako eksploatowanie kraju lub kierowanie nim wedle woli, że są one, w końcu, istną pasożytną rośliną pływającą po fali życia społecznego, ale nie wyrastającą z jego głębi.“

Ale czyż dla tego, że dzienniki nasze nie stanowią zwykle prawdziwego wyrazu opinii kraju, nie są mimo to arcyszkodliwe, nie wpływają na przekonania wielu, nie osłabiają uczuć katolickich mnogich jednostek, nie dogadzają zepsutemu smakowi społeczeństwa, owéj manii nowinek, jak powiada p. Szujski, a których one dostarczają bez miary, nie bluźnią nie depczą najśw. instytucyi i rzeczy, dotychczas powszechnie czczonych, nie przenikają, wreszcie do niższych warstw kraju wpływem iście demoralizującym?

Powtarzamy, wszakże iż tak nie jest, i w téj mierze, oprócz wielu innych nie mało doświadczonych i znających społeczność naszą mężów, ludzie „w rewerendzie,“ których p. Szujski radby skrzętnie ze szranków dziennikarstwa oddalić, mogliby mu zbyt smutne i liczne dowody przadstawić. Dość przypomnieć sobie niedawną epokę Soboru powszechnego, owe tysiączne baśnie, wymysły, po dziennikach naszych szerzone, a z taką wiarą powszechnie niemal przyjmowane w kraju, iż niejednokrotnie ze ze zdumieniem słyszeliśmy je od tych, którzy nas budowali przedtem poszanowaniem swem i wiernością dla katolickiego kościoła. I byćże może, pytamy, aby takie potworne oszczerstwa, fałsze, nie osłabiły przywiązania, nie zachwiały wiary w bozką powagę i posłannictwo kościoła tego, w prawdy z umysłu a wciąż każone i przekręcane? I byćże może, aby szczerzy i gorliwi katolicy, w których przekonaniu — ten kościół, ta prawda i wiara są życiem i podstawą bytu społeczeństwa naszego, nie wystąpili z zasadami, jak się wyraża p. Szujski, przeciw tym krzewicielom „nowinek“ i fałszów, nie odtrącili potwarzy, bez namiętności i gniewu, ale stanowczo

i silnie, usypiając raczéj spokojnie na miękkiéj poduszce urojenia, iż u nas wszystko takie katolickie i dobre, takie niezłomne lub niewinne?

....Co do kwestyi drugiéj, mianowicie, co do religijnego stanu społeczności naszéj, z przykrością wyznać musimy, iż nie widzimy nawet owych punktów zgodnych, co nas w uprzednim przedmiocie z szan. autorem złączyły.

Tak, naprzód, co do przeszłości Polski, protestujemy najmocniéj, przeciw owemu jakiemuś „odrębnemu charakterowi katolicyzmu" który naprożno w dziejach praojców naszych wynaleść się stara drezdeński redaktor i sofista, a o którym z wielkiem zdumieniem naszem, spostrzegamy wzmiankę w artykule pana Szujskiego. Katolicyzm, jako dzieło Boże ma to właśnie do siebie, że zawsze jest i musi być jeden; jego charakterem, nadanym mu przez stwórcę — Chrystusa, jest jedność i świętość i apostolskość i powszechność, i żadnéj innéj cechy ni charaktern przyjąci on nie może. Różnica usposobień i obyczajów rozlicznych ras i narodowości, które go wyznają, nie wpływa bynajmniéj na jego naturę i boski charakter, nie zmienia go wcale, jak nie zmienia natury i charakteru słońca nieprzebrana rozmaitość przedmiotów, które ono oświeca i ogrzewa. To co p. Szujski mówi o dawném duchowieństwie polskiém, nie ma nic wspólnego z katolicyzmem, nie dowodzi bynajmniéj odrębnego u nas charakteru jego. Cóż znaczy, że było ono monarchicznem, czy republikańskiem, zeszlachconem czy nie: czyż różnica formy rządu lub stanu wpływa na katolicyzm, czyż nie przyjmuje on raczéj wszelkich form tych i stanów? Że natura polska nie była skłonną do zagłębień teologicznych, filozoficznych, — to właściwość tylko téj natury, nie zaś katolicyzmu, — więc i to nie stanowi jego odrębnego charakteru. Co do „sformułowania dogmatycznego," znajomości dogmatów, katechizmu, téj nie brakło pra-ojcom naszym i pewno, gdyby dziś powstać mogli, zawstydziliby tą wiedzą swoją dzisiejszych swych wnuków, tak dumnych z oświaty i postępu, tak najczęściéj nieświadomych pierwszych artykułów wiary. Nie brakło też i ducha katolickiego obok „rygoru formy", skoro to co rdzeń i rękojmię tego ducha stanowi: poszanowanie i uległość dla Stolicy św. w tak wysokim odkrywamy tam stopniu, skoro tyle razy, na głos następców Piotra, biegła Polska nasza na pole bitwy, z ofiarą krwi synów swoich, albo, wbrew interesom swoim i bez względu na polityczny błąd Rzymu, nie wahała się zrzekać zyskanych korzyści.

Tyle co do przeszłości naszéj. Dziś, powiada p. Szujski, mimo wszystko co się w koło nas i u nas samych dzieje, katolicyzm „jest zasadą potężnie w społeczności naszéj rozrosła" „katolicyzm jest dotąd panem kraju i narodu u nas, jego rzeczywistą siłą, czynnikiem wiedzy, myśli uczuć i obyczaju, tak potężnym, jak drugiego, jemu podobnego nie znajdzie." Pozwolimy sobie naprzód wskazać maluczką sprzeczność, jaka zachodzi między słowami temi, a następnemi, które czytami o parę wierszy niżéj: „nie chcemy twierdzić aby katolicyzm, o ile wsiąknął w krew i kości, zarówno przeszedł w myśl i rozum naszego społeczeństwa." Cóż więc znaczy katolicyzm taki krwi i kości, a nie myśli i ducha, i jakże może być „potężnym, owszem najpotężniejszym czynnikiem wiedzy i myśli, skoro tam dokładnie nie wniknął?" Spotykaliśmy, zresztą, niejednokrotnie, próbki takiego katolicyzmu krwi i tradycyi rodowéj; słyszeliśmy nieraz ludzi twierdzących, iż są dobrymi katolikami, gdyż dobrą katolicką ich matka była, a jednocześnie przeczących nie tylko Kościołowi i jego powadze, ale i bóstwu Chrystusa. Przyznać trzeba, iż takiego katolicyzmu nie winszujemy zgoła społeczności naszéj. My uznajemy katolików, którzy według słów Ewanielii, *ex Deo* z Boga tj. z wiary i ducha katolikami się stali, lecz nie *ex voluntate carnis,* lub *ex voluntate viri...* Ale mniejsza już o tych ostatnich. Spytajmy więc p. Szujskiego, gdzie dowody owéj obecnéj potęgi rozrostu katolicyzmu u nas? Może w życiu publiczném, w głosach delegacyi sejmu, rad powiatowych czy miejskich. Są tam niekiedy fakta i głosy katolickie, — to prawda, ale czyż to ogólne, czyż to nie istotne wyjątki? W opinii publicznéj? Ale gdzież ona, gdzie jéj wyraz prawdziwy, w kraju, w którym publiczność groszem własnym opłaca i utrzymuje pisma, dzienniki bluźniące wszystko co święte i czcigodne, depczące powagę kościoła, szydzące z praw Papieża; w którym jawnie w karykaturach lub na teatrach przedrzeźniani są biskupi i dostojnicy kościelni; w którym młodzież w większéj części mniéj niż wątpliwe pod względem zasad religijnych otrzymała wychowanie; przyklaskując profesorom prawiącym bezbożne teorye, w którym eks-redaktorka warszawska młodziutkim dziewczątkom preleguje o raju, urzeczywistnianym na ziemi przez apostatę Hyacynta i staraniem pedagogicznego towarzystwa prelekcye te drukiem ogłasza; w którym ludzie warstw niższych, i to nie pojedyńczo, np. rzemieślnicy, czeladnicy uskarżają się przed kapłanami, iż chodzić do kościoła, do sakramentów nie mogą, gdyż są za to prześladowani, w którym ciż kapłani, w większych miastach, codziennie już niemal, wyzywani są i znieważani na ulicach itd.

Doprawdy, źle się radzi ukochanéj ojczyźnie, jeśli się jéj choroby i niebezpieczeństw nie widzi, nie uznaje, a przynajmniéj zbyt lekceważy. Słysząc te optymistyczne twierdzenia ze strony mężów prawdziwie zdolnych i powołanych by radzili złemu, ze strony przedstawicieli téj inteligencyi, która jak słusznie powiada p. Szujski „może najdzielniéj ratować społeczeństwo od szaleństw krzykaczy i szarlatanów", — mimowoli przypomina się nam owa ewanieliczna przypowieść o sługach gospodarza, co słodkim snem spali obok powierzonéj roli, podczas gdy nieprzyjaciel rzucał w nią konkolne nasienie, albo znów głos tych starozakonnych proroków co wołali wciąż: „pokój, pokój, a pokoju nie było."

„Kładziemy, pisze p. Szujski, znaczny przycisk na spostrzeżenie, że przyczyną antikatolickich objawów u nas nie są zasady, ale polska mania nowinek." Nie przeczymy zgoła istnieniu i szkodliwości téj manii, a następnie trafności spostrzeżenia autora; zdaje się nam wszakże, iż główną przyczyną złego u nas, nawet i téj manii, jest właśnie brak wszelkich stałych zasad, a przedewszystkiém religijnych, brak świadomości katechizmu i zdrowych katolickich pojęć. Ztąd więc znów wyrasta konieczny obowiązek dla pism katolickich podnoszenia i krzewienia tych zasad, obrony ich przeciw fałszowi i skrzywianiu. Nauki w Kościele dziś nie wystarczają; bo iluż to do Kościoła i na nauki wcale nie chodzi. I oto dla czego księża, mimo swą niemiłą w téj mierze autorowi rewerendę, jęli się dziennikarskiéj pracy w czasach naszych.

Wreszcie, niesłuszny jest zarzut, uczyniony pismom tym, jakoby dążyły one do wytworzenia katolickiego stronnictwa w katolickim narodzie. — Juześmy odpowiedzieli co do owego katolicyzmu narodu, a co do stronnictwa, to nie my go wcale tworzymy. Nie my głosimy przecież o zastarzałych pojęciach i dogmatach Kościoła, o upadku jego powagi i władzy, nie my winszujemy myśli i społeczności ludzkiéj, że się z objęć jego wyemancypowała, nie my nazwaliśmy się sami ultramontanami, papistami, Rzymczykami, nie my się zwiemy obozem, partyę, filią OO. Jezuitów lub Zmartwychwstańców. My zrodzeni w katolicyzmie na łonie kościoła i katolickiéj ojczyzny, my pragniemy by naród, cały wierny temu Kościołowi i samemu sobie pozostał. W tym celu głosimy zasady katolickie, piętnujemy fałsze i błędy. My opieramy się na całéj przeszłości narodu naszego, a nie uznając w niéj żadnéj odrębnéj cechy katolicyzmu, wołamy w imię téj przeszłości do jedynego a gruntownego katolicyzmu, w którym, wierzymy, iż przyszłość nasza złożona. Nie, nie, nie stanowimy stronnictwa , ani go wyrabiamy w kraju, a jeśli się wszczyna rozdwojenie, jeśli się obudza i roznamiętnia walka, to *Tygodniowi, Krajowi, Narodówkom,* to dzięki tym właśnie, co z nowinkami do narodu naszego przychodząc, rozsiewają je w nim i krzewią gorliwie. Tamby przedewszystkiém panu Szujskiemu ze słowem surowego upomnienia zwrócić się wypadało!

Jest to zarazem i dla naszego *Dziennika* odpowiedź. Rzecz ciągnie się daléj:

Którež to, daléj, pismo katolickie, odtrąca, potępia lub zapoznaje pracę naukową, prace na seryo, ruch prawowity ku krytycznéj wiedzy lub nawet uszczęśliwieniu doczesnemu? Któreż, i owszem samo nie usiłuje, o ile w mocy jego jest, przyczynić się by trochę do kapitału pracy katolickiéj, nie zagrzewa, nie woła do niéj, do umiejętnego rozwinięcia zasad katolicyzmu? Śmieszną zarozumiałością byłoby porównać się w téj mierze do katolików Belgii i Francyi, — ale znów dalecy od nich zasługą, przyznać się nie możemy, abyśmy z wytkniętych przez nich w téj mierze torów zejść chcieli, hołdując, choćby najmniéj, ślepocie i fanatyzmowi, abyśmy bezwzględnie gorszyli się próbkami owego krytycznego kierunku czy ducha, dla tego, iż mimo dobrą wiarę i wolę autora, jakaś w nich niedokładność dogmatyczna, lub nawet jakiś szczegół mniéj zgodny z zasadą naszą się znalazł. W imię miłości dla zasady, dla prawdy, — a ta pierwsza jest, jak wyżéj wspomnieliśmy, wskażemy i wskazać winniśmy ów błąd czy pomyłkę, ale nie mniéj przeto uszanujemy sumiennego pracownika i prawdziwą wartość jego roboty. I nie wprzód nawet odezwiemy się z obroną dotkniętéj zasady, ze sprostowaniem owego fałszywego tonu, aż pewni będziemy, iż w istocie jest on fałszywym, zasadę katolicką obraża i kazi, a pochodząc od męża cenionego w kraju, w imię uznawanéj powagi tém więcéj, przy ogólnym braku grrotowności i słabości wiedzy, przy tak częstém rozmyślném spaczaniu katolickiéj nauki, szkodliwym być może.

Niech p. Szujski pewien będzie, iż każde pismo katolickie, jeśli jeno wiernem jest samemu sobie, szanuje głęboko prawdziwą i sumienną naukę i krytyczną wiedzę, bo wie, że na niéj katolicyzm jako bozki a więc koniecznie prawdziwy, zyskać tylko może. Pismo katolickie nie przypuszcza nawet, „aby myśl sumiennie i na seryo badawcza miała iść koniecznie w zapas z katolicyzmem," aby dążenie do prawdy kazało z całą sumiennością wykrywać szczegóły mogące być wyzyskane przez nieprzyjaciół Kościoła." Pismo katolickie nie lubi tylko i odrzuca pół naukę, fałszywą krytykę, bo ta w niczem nie pożyteczna społeczeństwu, zawsze prawdzie i Kościołowi przeciwna. A jeśli błąd jaki, jakiś

szczegół niezgodny z katolicyzmem w sumiennéj nawet zkąd inąd pracy, w studyach gruntownéj nauki dostrzeże, to nie uznając wcale kierunku tego za „konieczny, nieuchronny,“ uważa go raczéj za mimowolną niedokładność saméjże nauki, za chwilowe prześlepienie ze strony krytycznych poszukiwań i wiedzy. I niech się nie gorszy p. Szujski tém, iż go podnosi, wskazuje; nie znaczy to wcale, aby tém uwłaczało całéj pracy, chybiało jéj autorowi. Bynajmniéj. Znaczy to tylko, iż naprzód miłuje prawdę i hołd jéj przynosi, znaczy to następnie, iż broni zasady tam, gdzie o zasady najbardziéj chodzi, bo ich braknie, lub zbyt słabo są ugruntowane; znaczy to nakoniec, iż idzie za przykładem Kościoła, ceniąc niepomału zasługi i prace katolickich mężów i pasterzy jak np. Fenelona lub jak w dzisiejszych czasach mgra Segur'a; nie mniéj przeto błędne ich punkta wskazuje i do odwołania ich lub sprostowania wzywa.

Zarzut ten że katolicyzm tamuje badania, *Dziennik* w liście z *Ustronia* bez skrupułu powtarza. Jest w tym zła wiara albo zaślepienie. Gdy kto u nas, np. p. Libelt przeczyta kilka dzieł protestanckich lub materyalistycznych i za panią matką pacierz powtarza, a ani wie, że są prace katolickich pisarzy, tedy się to nauką, erudycyą, badaniem zowie. *Unia* doskonale na te frazesy odpowiada.

Unia lwowska coraz widoczniéj nabiera siły i stanowczości. Artykuły o sprawach kościelnych wiele uprzedzeń rozwieją. Mamy jednę rzecz do nadmienienia: nie pojmujemy wcale dla czego *Unia* zaleca *Mrówkę*, pismo podkopujące jawnie chrześciańskie zasady i propagujące w dzień biały niewiarę i materyalizm.

Przegląd lwowski polecamy znowu jak najsilniéj. Zdaje się nam, że każdy duchowny powinienby wspierać to pismo katolickie, pełne życia i odwagi. Artykuły w nim rozmaite, gruntowne. Kosztuje rocznie 8 złr., wychodzi dwa razy na miesiąc w czterech arkuszach druku. Dla braku miejsca podajemy tylko spis rzeczy 6. poszytu:

1. Zarysy o sztuce chrześciańskiéj, część III. wieki średnie. 2. Wyznanie wiary św. Atanazego przez hr. Maurycego Dzieduszyckiego. 3. O metodzie scholastycznéj (ciąg dalszy) Ks. kan. Zygmunt Golian. 4. Zapiski historyczno-archeologiczne. Mytologia dawnych Egipcyan, Dr. Władysław Skrzydylka. 5. Z czasów Jozefińskich (rzecz historyczna). 6. Poezya (Rozmowa z jéj stolikiem) hr. Maurycy Dzieduszycki. 7. Z missyi. List z Australii. 8. *Dziennik poznański* i Ultramontanie polscy. 9. Korespondencye *Przeglądu* z Rzymu. 10. *Przegląd polski* (artykuł przez ks. Edwarda Podolskiego). 11. Notatki literackie. 12. Kronika. 13. Karta wspomnień. Berlicza Sasa (dodatek powieściowy *Przeglądu lwowskiego*).

— W czwartek 23. b. m. umarł ks. Biskup Sufragan Franciszek Stefanowicz. Chorował na rozmiękczenie mózgu już od ostatnich dni listopada, i po ludzku rzeczy biorąc, nie było nadziei; nikt jednak nie chciał dopuścić myśli, że tak prędko z pośród nas zniknie. Urodzony w r. 1801, wyświęcony w roku 1824, biskupem został w r. 1854. Tracimy w nim kapłana pobożnego, gorliwego biskupa, chrześcianina przykładnego. W środę koło godziny 5. uczuł się słabszym i zażądał pomocy duchownéj, choć trzy dni pierwéj wyspowiadał się. Nim kapłan nadszedł, chodząc po pokoju zsunął się na podłogę. Pospieszył do umierającego Arcypasterz i udzielił mu Sakramentu Ostatniego Namaszczenia. W kilka minut życie uszło. Później podamy obszerniejszy życiorys, dziś zapisujemy tylko żałość naszą i słowo uczczenia dla pamięci zmarłego. Eksportacya odbędzie się w niedzielę po południu, pogrzeb w poniedziałek.

Wiadomości potoczne.

— Na zakończenie nowenny na cześć św. Józefa u Karmelitek odprawił Najprz. Ks. Prymas w dzień św. Józefa mszę św. o godzinie 8 rano w ich kościółku. Bardzo wiele osób przystępowało na téj mszy do Stołu pańskiego.

— Dziś w uroczystość Zwiastowania N. Panny Najprz. Ksiądz wyświęcił w kaplicy swojéj na kapłanów dyakonów Kozika Roberta, Tascha Józefa, Kanteckiego Anton., Lewickiego Jana, Glabisza Leona i Meszyńskiego Władysława. Ksiądz Meszyński jest Doktorem w Prawie Kanoniczném, ks. Tasch, ks. Kozik i ks. Glabisz mają stopień licencyatów św. Teologii.

Święcenia zaś na dyjakonów otrzymali: Gramze Jan, Leporowski Wład. Płócieniak Józef, Skąpski Ant., Szymański Wład.

— Członek akademii francuskiéj P. Légouvé skarży się w dziennikach na bezecne ryciny i fotografie, które znikły były w czasie oblężenia Paryża, znowu się za szybami księgarni i składów litografii pokazują.

— Znajdujemy w pismach publicznych list Ojca św. do kardynała Wikarego z wyznaniem żałości i oburzenia na krzywdy, jakich doznaję OO. Zakonu Jezusowego. Z listu tego podamy kilka ustępów.

— Panie miejscowe i zagraniczne w Rzymie podpisują adres do panujących w Europie z żądaniem, aby wdali się w to, iżby swobody religijnéj nie gwałcono w mieście wieczném.

— *Unita cattolica* przytacza różne niegodziwe zdania wypowiedziane przez deputowanych włoskich. I tak Andreotti rzekł: „potrzeba nam rewolucyi przeciw nabożeństwu katolickiemu.“ Miceli, „musimy zburzyć papieztwo.“ Custiglia: „Katolicyzm taki jaki istnieje jest naszym nieprzyjacielem;“ Crispi; „Wszystko napróżno póki nie obalimy katolicyzmu.“ Petrucelli della Gattina: „Zaiste, katolicyzm jest narzędziem rozdwojenia, on nam przynosi nieszczęście i trzeba go zniszczyć.“ Salwator Morelli nazwał religią katolicką *szatańską*, a Mauro Macchi nazwał fakt zawieszenia krucyfixu zuchwałą próbą reakcyjną.“

— Żydzi chcą po całym świecie zburzyć pozytywną religią, a zaprowadzić rozwodnioną moralność; jednakże u siebie, w swéj synagodze nie chcą nowości, po największéj części są zachowawczymi. Okazało się to znów nie dawno w Wiedniu. Przełożeni synagogi wykreślili z modlitw prośbę *o odkupienie i powrót do Jerozolimy*. Przeciwko temu protestowało żydostwo, licznie się zgromadziwszy, nie chciało stracić swego Jeruszalaum i wedle zasad konstytucyjnych groziło wstrzymaniem się od płacenia podatków. Mówcę, który występował *za reformą*, sprowadzono w świętéj gorliwości za lokesy z mównicy. Warto to sobie spamiętać w czasach dzisiejszych, gdy żydzi tak zacięcie na innych polach przemawiają na liberalizmem.

Składka na Ojca św.

IV.

Z poprzednich spisów	81 tal.	13 sgr.	3 fen.
Klasztor OO. Reformatów w Osiecznie	5 tal.	— sgr.	— fen.
X. G. z Chodzieża	— tal.	20 sgr.	— fen.
N. N. z Poznania	1 tal.	— sgr.	— fen.
Tow. św. Winc. a Paulo w Poznaniu	8 tal.	7 sgr.	— fen.
P. K. Morawski z Jurkowa*)	10 tal.	— sgr.	— fen.
Konf. św. Winc. w Gnieznie	5 tal.	— s r.	— fen.
Konf. św. Winc. w Sulmierzycach	— tal.	15 sgr.	— fen.
Summa	110 tal.	25 sgr.	3 fen.

*) P. K. Morawski dołączył list następujący:

Szanowny księże Redaktorze!

Chcąc i w tym roku zasłużyć sobie na tak Ojcowskie, a sercom naszym katolickim i polskim, tyle drogie słowa z ust Ojca św. jakiemi Ty, Szanowny księże, a wraz z Tobą, my wszyscy, zaszczyceni zostaliśmy — spieszmy z ofiarą naszą, bo to jedyny sposób obok modlitwy, przystępny nam, w obecnych smutnych okolicznościach, niesienia pociechy i pomocy, w niewoli zostającemu Ojcu naszemu, bo to jedyny sposób publicznego stwierdzenia naszéj żywéj miłości i uległości, dla Stolicy Apostolskiéj. W téj myśli pospieszam przesłać Ci mój maleńki dodatek.

Nakładzca i Redaktor X. J Stagraczyński w Poznaniu. — Czcionkami drukarni Tygodnika katolickiego (A. Schmaedicke) w Poznaniu.
W komisie L. Streisandta w Grodzisku.